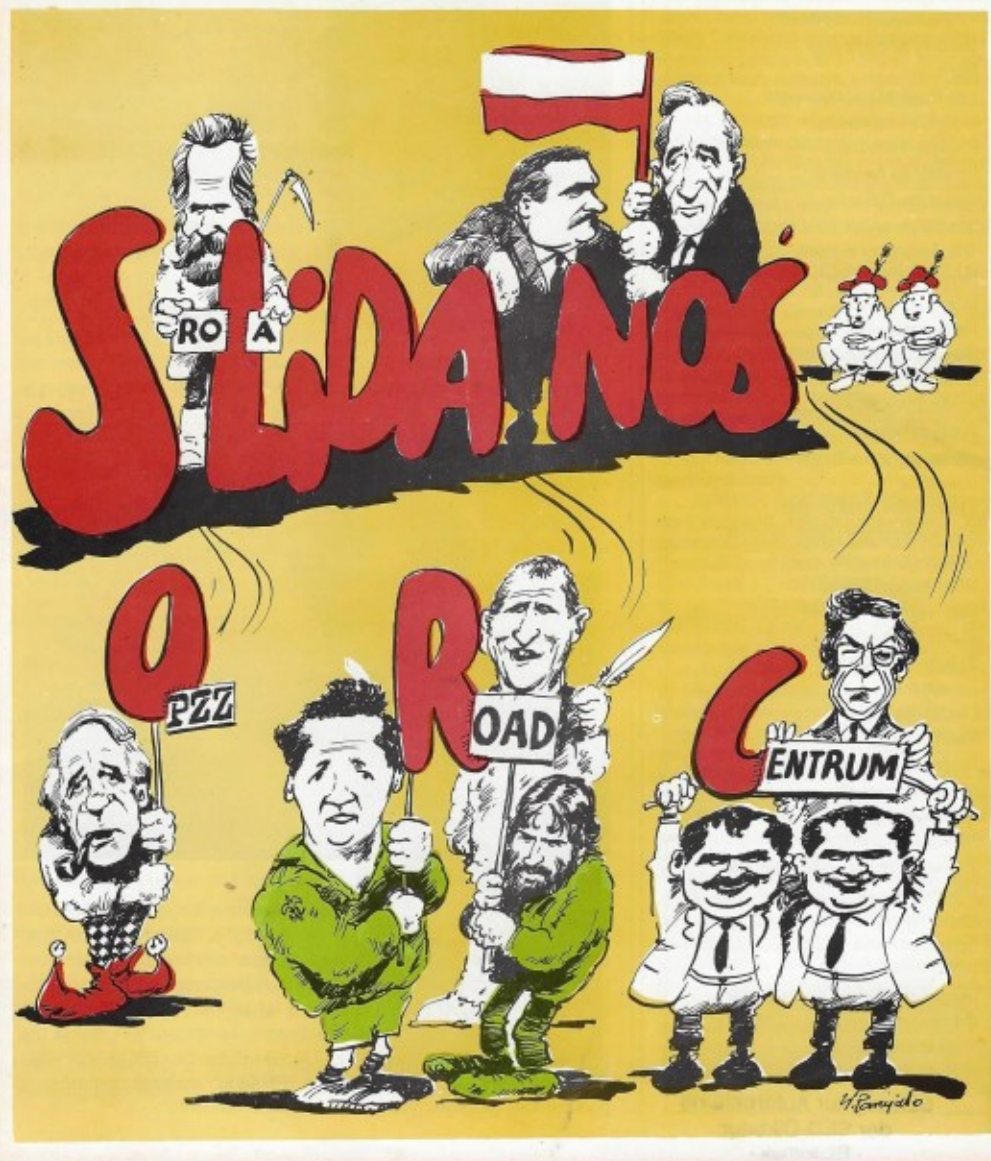


Pogląd

Magazyn polityczny:
krytyczny
niezależny
pozapartyjny

Cena 3500zł



Edward Klimczak	
Ostatni akt imperialnej polityki USA?	2
Zbigniew Zbikowski	
Londyn do Belwederu	3
»Wykluczam możliwość budowy socjalizmu«	4
Rozmowa	
z dr. Pawłem Łączkowskim, wiceprzewodniczącym OKP	
Elżbieta Szawarska	
Urodzaj na fundacje	7
Katarzyna Dolińska	
Anna Stelmasiak	
Wieczory przy ruletce	10
Renesans wiejskiego dworu	13
Małgorzata Keram	
Radio i telewizja	14
Romuald Szeremietiew	
Bezrobocie	16
Agnieszka Kulicka	
Życie parafialne	18
»Kolaborant« ministrem	20
Rozmowa	
z Ewarystem Walińskim, min. komunikacji i gosp. wodnej	
Cezary Stolarczyk	
USA: Kongresmeni przyrośnięci do foteli	22
Stanisław Grochowski	
Szkolenie polskich menadżerów	25
Leszek Szaruga	
Karl Dedecius	26
Peter Lachmann	27
Marta Waliszewska	
Lektury polecane	29
Stanisław Kania	
Zbrodniarze wojenni agentami wywiadu?	30
Jacek Korczak-Mleczko	
Sport i polityka	31

Numer zamknięto dn. 10.09.90 r.
Oddano do druku dn. 13.09.90 r.
Projekt okładki: wit

Interlinie

CHADECJA W SEJMIE

STR. 4



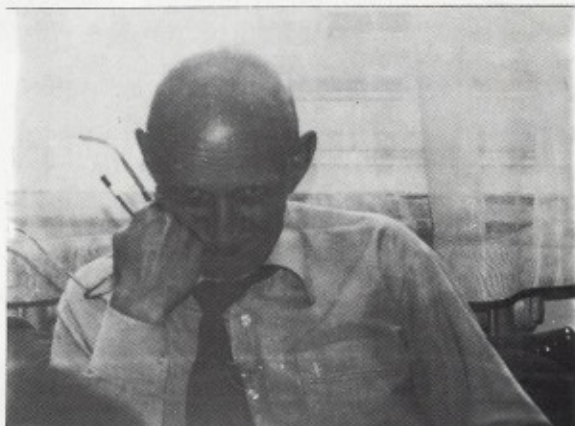
Paweł Łączkowski

fol. Pogląd

Jest ich 72 osoby — w Sejmie i w Senacie, powiązani są z różnymi ugrupowaniami czy partiami: Stronnictwem Pracy, KIK-ami, Klubem "Sierpień '80" w Poznaniu lub innymi. Odbyli już wspólnie szereg posiedzeń, wyłonili nawet pięciosobowe prezydium, opracowują wspólny program — chcą być w przyszłości nowoczesną partią chrześcijańsko-demokratyczną, bez elementów endeckich. Brakuje im — na razie — najważniejszego — bazy. Rozmowa o chadecji z dr. Pawłem Łączkowskim, wiceprzewodniczącym OKaPu.

RADIO I TELEWIZJA

STR. 14



Andrzej Drajcz, szef Radiokomitetu

fol. Aleksandra Bessert

Nudy na pudy — tak surowo ocenia przeciętny polski telewidz rozdając TV. I dodaje: Tak samo jak za komuny! A Radio? Kto to słucha, chyba że prognozę pogody. Przejęcie przez "solidarnościowego" szefa fonowizualnych mediów nie zmieniło ich bezbarwności i ...prorzędowości. "Mamy to, co mamy" — pisze od wewnątrz autor "Poglądu": "szmirowatość seriali, rozmodnione twarze, ceremonie". Reforma nie dotarła jeszcze do Radiokomitetu. "Kierownictwo bez koncepcji" — takim nagłówkiem opatrzyła redakcja "Poglądu" materiał dostarczony pod bardziej groźnym tytułem: "Może dojść do buntu".

BEZROBOCIE

STR. 16



Do końca bieżącego roku 2,5 mln bezrobotnych?

fot. Kacper

Romuald Szeremietiew, przew. Polskiej Partii Niepodległościowej pisząc w lipcu br. do "Poglądu" o bezrobociu powołał się na prognozy, wg których ilość bezrobotnych miała wynosić 800-900 tysięcy pod koniec roku. Stan 800 tys. bezrobotnych został osiągnięty na początku września i jeżeli tempo wzrostu bezrobocia (Szeremietiew: 3 tys. dziennie) się nie zmieni, to gdy "Pogląd" dotrze do P.T. Czytelników, będzie bezrobotnych o 100 tys. więcej. Te straszne cyfry dowodzą słuszności analizy szefa PPN-u. Miejmy nadzieję, że wspomniana przez niego prognoza Banku Światowego — 2,5 mln bezrobotnych — się nie sprawdzi.

USA: KONGRESMENI

STR. 22

Każdy Polak wie, że wszystko, albo prawie wszystko jest w Ameryce naj... — największe, najlepsze, najbardziej rozwinięte. Najwyższe są drapacze chmur i najwyższe zarobki, największe są rzeki i największe koncerty (wolność też jest największa!). Są najlepsze filmy, książki i rakiety. Najwięcej jest gangsterów i najwięcej milionerów, najlepsza jest technika i najlepsza demokracja. STOP. Być może najlepsza (jako że "punkt widzenia zależy od punktu siedzenia"), ale nie doskonała. Na kochane dziecko krytycznie spogląda nasz chicagowski korespondent Cezary Stolarczyk analizując "punkt siedzenia kongresmenów".



Ameryka, Ameryka...

■ **SOFIA.** Francuski tygodnik L'EVENEMENT DU JEUDI (19-25 VII) podaje, że w ciągu ostatnich 6 miesięcy 80 tys. Bułgarów zadeklarowało chęć wyjazdu ze swojego kraju, ostatnio np. 400 osób szukało "azylu" w ogrodach ambasady francuskiej w Sofii.

■ **OSLO.** Paryski magazyn ilustrowany LE POINT (29 VII) informuje o zaniepokojeniu Norwegów: część wojsk sowieckich wycofałych z Europy Centralnej grupuje się obecnie w pobliżu norweskiej granicy, m.in. 39 Mig-27 mogących przenosić broń nuklearną została przeniesiona z bazy w Debręczynie na półwysp Kola.

■ **MOSKWA.** Po religii i wódce Rosjanie odkryli nowe opium dla ludu — pisanie L'EVENEMENT DU JEUDI (5-11 VII) — loterie. Jedno z francuskich towarzystw loteryjnych podpisało pierwszy kontrakt z Rosjanami na błyskawiczne uruchomienie nowej loterii i dostawę 200 milionów losów.

■ **HAWANA.** L'EVENEMENT DU JEUDI (12-18 VII) podaje, iż w Hawanie oświadczono, że Międzynarodowy Czerwonny Krzyż nie ma już prawa wyżywiania więźniów kubańskich.

■ **USA.** L'EVENEMENT DU JEUDI (26 VII-1 VIII) donosi za NEW YORK TIMES, że tysiące studentów z Europy Wschodniej chcą zapisać się na uniwersytety amerykańskie, jak na razie takie możliwości istnieją jedynie w Harvardzie, którego budżet dla cudzoziemców jest praktycznie nieograniczony.

■ **MOSKWA.** Krem jest w trakcie odwoływania z korpusu dyplomatycznego członków komunistycznej nomenklatury litewskiej, ludzi, którzy utracili dawny status w wyniku wyborów powszechnych. (LE POINT, 5 VIII)

■ **BUDAPEST.** Francuski lewicowy dziennik LIBERATION (31 VII) pisze: Wysoki urzędnik węgierskiego ministerstwa spraw zagranicznych oświadczył, że Węgry są gotowe do nawiązania stosunków dyplomatycznych z tymi republikami sowieckimi, które ogłosiły niepodległość; do tej pory żadna z republik nie zwróciła się do Węgrow z taką propozycją.

■ **MOSKWA.** Związek Sowiecki dostarczył w ciągu pierwszych pięciu miesięcy tego roku 300 ton złota do Londynu i Zurychu, gdzie odbierana jest prawie całość sowieckiego złota eksportowanego do krajów zachodnich. ZSSR poinformował też, że będzie musiał sprzedać więcej złota i diamentów, by opłacić import zboża po tym, jak USA odmówiły nowych ułatwień w zakupach. (LIBERATION, 1 VIII)

■ **MOSKWA.** Szef Gosbanku, państwowego banku sowieckiego, Wiktor Gioraszenko, skrytykował decyzję rządu o zalogalizowaniu posiadania dewiz przez obywateli sowieckich, obieg innych walut obok niestabilnego rubla może wg niego spowodować poważne kłopoty. (LIBERATION, 31 VII)

- MOSKWA. LIBERATION (30 VII) powołując się na IZWIESTIA informuje, że w ciągu pierwszego półrocza liczba awarii w swieckich reaktorach atomowych wzrosła o 15% w stosunku do roku ubiegłego, awarie te 75 razy spowodowały wyłączenie reaktorów.
- KIJÓW. Parlament Ukrainy – donosi centrowy dziennik francuski LE MONDE (1 VIII) – zażądał powrotu do republiki do 1 października br. wszystkich powołanych do wojska Ukraińców, którzy wykorzystywani byli do opanowywania konfliktów narodowościowych między Kirgizami a Kazachami.
- HAMBURG. Jak podaje Deutsche Bank, Związek Sowiecki nie zrealizował zobowiązań płatniczych wobec zachodnich partnerów na łączną sumę 5,1 mld DM. (SÜDDEUTSCHE ZEITUNG, 14-15 VII)
- PRAGA. W obszarach przygranicznych między NRD i Czechosłowacją odnotowano braki w zaopatrzeniu w żywność – po wprowadzeniu uni monetarnej z dniem 1 VII 90 obywatelowie wschodnioniemieccy masowo wykupują tanią, bo ciągle jeszcze przez państwo dotowaną żywność w sąsiednim kraju. (TAGESZEITUNG, 14 VII)
- BERLIN/BONN. Węgry zlikwidowały swoją ambasadę w NRD; do momentu zjednoczenia ambasador węgierski w Bonn przejmie obowiązki wschodnioniemieckiego kolegi. (TAZ, 16 VII)
- BONN. Rzecznik frakcji parlamentarnej SPD w zachodnioniemieckim Bundestagu Roth wypowiedział się za udzieleniem Wyższości Sowieckiemu pomocy finansowej w wysokości 20 mld dol. (FAZ, 16 VII)
- HELSINKI. Od lutego br. ponad 6 tys. obywateli sowieckich złożyło podanie o emigrację do RPA w ambasadzie tego kraju w Helsinkach. (SÜDDEUTSCHE ZEITUNG, 20 VII)
- TEL-AWIV. Ponad 50 tys. Żydów sowieckich wyemigrowało w tym roku do Izraela; 1,3 miliona osób złożyło podanie o emigrację do tego państwa. (SÜDDEUTSCHE ZEITUNG, 20 VII)
- PARYŻ. Do 1995 roku wojska francuskie opuszczają terytorium Niemiec; armia francuska stacjonująca w RFN liczy obecnie 82 tys. osób, w tym 9 tys. cywilów. (FAZ, 23 VII)
- MOSKWA. W latach 1945-50 w obozach internowania na obecnym terytorium NRD zginęło 43 tys. Niemców – podało ministerstwo spraw zagranicznych ZSSR. (SÜDDEUTSCHE ZEITUNG, 26 VII)
- WASHINGTON. Stany Zjednoczone po-

Konflikt w Zatoce Perskiej

Edward Klimczak

Ostatni akt imperialnej polityki USA?

Zajęcie Kuwejtu przez Irak w początkach sierpnia br. ujawniło, że przodujące supermocarstwo – *number one* – świata jest nader wrażliwe; jego gospodarka uzależniona jest od ropy importowanej z krajów leżących nad Zatoką Perską. Ich podległość irackiemu dyktatorowi Husajnowi byłaby bezpośrednim zagrożeniem najwzrostniejszych interesów Ameryki.

Konieczność wojskowej interwencji USA w celu egzekwowania nałożonych na Irak sankcji, a właściwie obrony własnych dostaw ropy, wywołała krytykę gospodarczej polityki poprzedniego prezydenta USA Reagana.

Wg członka senackiej Komisji ds. Finansów Lloyda Bentsena (*Washington Post* i *International Herald Tribune* z dn. 15.08.) Stany Zjednoczone tylko w ciągu trzech lat stały się z największego na świecie kredytodawcy – największym dłużnikiem, bo wzrostowi gospodarce za Reagana towarzyszył rekordowy deficyt budżetowy wielkości 200 mld dolarów rocznie. Liberalna polityka Reagana, oparta na wierze w samoregulację rynku, okazała się złudą. Import tańszej ropy z zagranicy zmusił amerykańskich producentów do dławienia własnej produkcji. I tak USA dzisiaj wydobywa dziennie o 1,6 mld baryłek ropy mniej niż w 1985 r. przy jednoczesnym wzroście zapotrzebowania o 1,2 mld. Przed trzema laty Biały Dom odrzucił projekt interweniowania w rynek, o ile import ropy przekroczy 50% całego zapotrzebowania, co zagraża narodowemu bezpieczeństwu i ekonomicznej stabilności. Projekt Bentsena został przyjęty przez Senat dopiero w początkach sierpnia br. W ub. roku USA wydawała na import paliw 49 mld dol., co stanowi 45% deficytu w handlu zagranicznym.

Były prezydent USA (1977-1981) demokracja Jimmy Carter atakuje (*III* z dn. 14.08) w tym samym kierunku: na pocz. lat 80-ych w USA było 4000 sztybów naftowych, teraz jest ich około 1000. Ameryka importuje ponad połowę swojego zapotrzebowania (tj. ok. 2.700 mld baryłek ropy rocznie + przyp. E.K.), mając nienajlepszą Strategiczną Rezerwę Naftową (utworzoną z jego własnej inicjatywy pod koniec lat 70-ych), wynoszącą obecnie 590 mld baryłek, co odpowiada ilości 80-dniowego importu. Rezerwy Japończyków są np. o 75% wyższe.

Obaj krytycy zgodni twierdzą, że rząd USA nie prowadził polityki zmniejszającej do nadmiernego zużycia energii, a zachęcającej do jej produkcji, np. poprzez sponsorowanie projektów rozwoju alternatywnych źródeł energii. Ceną takiej polityki jest konieczność obrony własnych interesów przy użyciu sił wojskowych w regionach odległych tysiące mil od własnego kraju. Czy Amerykę na to stać – i jak długo?

Militarnie – tak, gospodarczo – nie, twierdzi w hamburskim tygodniowym magazynie politycznym *Der Spiegel* (03.09.) brytyjski naukowiec, profesor renomowanego amerykańskiego uniwersytetu w Yale Paul Kennedy. Wg Kennedy'ego pozycja USA jako przodującego mocarstwa zagrożona jest globalnie, gdyż w kraju tym zachwiała się równowaga między "polityczno-militarnymi zobowiązaniami a gospodarczymi możliwościami" (*Ressourcen*). Brak równowagi w tym imperialnym sprężeniu zapoczątkował upadek takich mocarstw jak Hiszpania i Wielka Brytania. Na odzyskanie równowagi, po to by utrzymać wielkomocarstwową pozycję, potrzeba ze strony Amerykanów ogromnych wysiłków w nekanej dzisiaj polityce gospodarczej, zaś konflikt w Zatoce Perskiej je niweczy. Rachunek za konfrontację z Irakiem – drążącą budżet USA nawet do wys. 300 mld dol. deficytu w tym roku – będą płacić przyszłe pokolenia.

Jeżeli obawy Kennedy'ego, a nadzieje hamburskiego tygodnika, miałyby się urzeczywistnić, to dwie ostatnie dekady naszego wieku przejdą do historii nie tylko jako okres upadku komunistycznych ideologii i sowieckiego imperium lecz także decentralizacji polityki światowej – z Waszyngtonu i Moskwy do równoprawnych partnerów w Tokio, Brukseli czy Berlinie.

Berlin, 10.09.90

Edward Klimczak

Uwaga!

Bieżące i archiwalne numery
"Poglądu" do nabycia w redakcji:
ul. Hoża 27 m 31.00-981 Warszawa
tel. 22/218881

Powrót II Rzeczypospolitej

Zbigniew Żbikowski

Londyn do Belwederu

Sprawa dalszej prezydentury Wojciecha Jaruzelskiego jest już w zasadzie przesądzona i to poza Belwederem. Ugrupowania zdecydowane na nowy podział kart postanowiły, że general powinien dla dobra sprawy sam złożyć dymisję i otworzyć w ten sposób nowy rozdział w walce o władzę. Optujących za pozostawieniem obecnego układu sił trudno dziś znaleźć, bo nawet lewica postkomunistyczna, której eksponentem obecny gospodarz Belwederu pozostaje, pragnie nowych wyborów, nowej konstytucji i nowego prezydenta.

Jest rzeczą zrozumiałą, że ugrupowania polityczne stanowiąc obecnie trzon władzy, stoją na stanowisku jej pełnej legalności. Najzupełniej zaś pod względem formalno-prawnym legalny rząd londyński traktują tak jak dawniej traktowali go "liberalni" komuniści — jako polityczno-emigracyjny folklor. Jest w tym pewna niekonsekwencja. Albo PRL uważa się za sowiecką okupację, rząd zaś stojący na jej czele za kremłowską marionetkę, a wówczas przejście władzy z jej rąk było politycznym paserstwem, albo odbiera się ją jako rzecz legalnie nabytą i nie mówi o jej pochodzeniu. Sytuacja byłaby prostsza i jaśniejsza, gdyby po cofnięciu przez aliantów uznania dla rządu emigracyjnego przestał on po prostu istnieć. Ten jednak upór przy trwał przez całe dziesięciolecie, dzierżąc insygnia legalnej władzy w niezależnej Rzeczypospolitej i doprowadzając do głębokiego zawstydzenia tych intelektualnych niedowiarków, którzy rozróżniając między siłą moralną a realną opowiedzieli się w swoim czasie po stronie realistów. Tak naprawdę wytrwało przy nim zaledwie kilka niewielkich liczebnie ugrupowań niepodległościowych, m.in. Polska Partia Niepodległościowa, Solidarność Walcząca, Służba Wierności Rzeczypospolitej, Konfederacja Polski Niepodległej uznające z jednej strony rząd londyński, z drugiej zachowujące się tak, jakby uznawała także rząd warszawski. To się nazywa "polityczny realizm".

Politycy dążący do jak najszybszej elekcji nowego prezydenta (czytaj: Lecha Wałęsy) zupełnie ignorują fakt, że legalny spadkobierca fotela prezydenta Mościckiego urzęduje na Zamku w Londynie, a nie w Warszawie. Gdyby Zgromadzenie Narodowe jeszcze przed rozwiązaniem wyniosło przewodniczącego "Solidarności" czy kogokolwiek innego na najwyższe w państwie stanowisko, w dalszym ciągu — patrząc realnie — mielibyśmy dwóch prezydentów i dwa rządy, choć tylko jeden, wybrany w kraju, parlament. Efektem tego posunięcia byłaby zapewne kampania o zwrot insygniów legalnej władzy — flagi prezydenckiej czy wielkiej pieczęci — i złożenie urzędów przez cały Zamek — jak się nazywa siedzibę emigracyjnych władz polskich. Dopiero bowiem po takim akcie można by mówić o legalnej kontynuacji przedwojennej państwowości polskiej. Taki scenariusz wydaje się być jednak nie do przyjęcia.

Najrozsądniejszy projekt uporządkowania zagadnienia władzy — jej legalności i kontynuacji — wysuwają niepodległościowcy. Ich zdaniem należy najpierw wybrać w wolnych wyborach nowy parlament, który przez Londyn zostanie uznany za suwerenny i odzwierciedlający wolę wyborców. Rząd warszawski wówczas przestanie istnieć, rząd londyński zaś podda się woli sejmu i złoży dymisję. Podobnie z prezydentami — przy czym byłoby zasadne, aby prezydent warszawski złożył urząd przed parlamentem, który go na ten fotel wyniósł, prezydent londyński natomiast przed nowym, już w pełni demokratycznym.

Pozostaje nie rozstrzygnięte zagadnienie "interregnum" — kto będzie rządził, gdy nie będzie ani parlamentu, ani prezydenta? Pomysł, wysunięty przez ugrupowania niepodległościowe, aby osobą taką był obecny prezydent Ryszard Kaczorowski, zasługuje na uwagę z dwóch co najmniej powodów. Po pierwsze rozwiązanie takie umożliwiłoby w sposób najmniej konfliktowy przejście przez trudny okres restytucji suwerennej władzy, po drugie zaś pokazałoby światu, zwłaszcza Zachodowi, który w swoim czasie zdradził rząd na wychodźstwie, że Polacy nie dają się tak łatwo sprzedać. Potrzeba im tylko czasu.

Warszawa, 08.09.1990 r.

Zbigniew Żbikowski

stanowiły zmniejszyć pomoc dla afgańskich mudżahedinów o 100 milionów dolarów — w ub. roku opiewała ona na sumę 300 mln dol. (SÜDDEUTSCHE ZEITUNG, 26 VII)

■ MOSKWA. Boris Jelcyń, prezydent Republiki Rosyjskiej, wypowiedział się za wstrzymaniem dostaw sowieckiej broni do Afganistanu, by w ten sposób umożliwić uwolnienie około 300 żołnierzy sowieckich będących do tej pory w rękach mudżahedinów. (SÜDDEUTSCHE ZEITUNG, 16 VII)

■ MOSKWA. Z dniem 1 stycznia 1991 roku handel w ramach RWPG odbywać się będzie w twardej walucie. (SÜDDEUTSCHE ZEITUNG, 26 VII)

■ LONDYN. Premier Wielkiej Brytanii, pani Thatcher, zapowiedziała redukcję armii brytyjskiej w ciągu najbliższych 5-7 lat o 57 tys. żołnierzy — licząca 55 tys. żołnierzy tzw. armia nadreńska stacjonująca w RFN zostanie zmniejszona do 20-25 tys. osób. (FAZ, 27 VII)

■ WIESBADEN/RFN. RFN zamieszkują 4,8 mln obywateli — Polacy zajmują z 5% (ok. 200 tys.) 5 miejsce po Turkach, Jugosłowianach, Włochach i Grekach. (SÜDDEUTSCHE ZEITUNG, 27 VII)

■ HANOI. Wietnam planuje redukcję sił zbrojnych z 1,2 mln do 750 tys. żołnierzy. (FAZ, 31 VII)

■ HAMBURG. Sekretarz generalny Związku Wypędzonych (Bund der Vertriebenen), Hartmuth Koschik zaproponował odłączenie byłych ziem niemieckich, tj. Śląska, Pomorza i Prus Wschodnich od Polski i stworzenie samodzielnej jednostki administracyjnej: "Polska nie doprowadzi tam nigdy do porządku gospodarki i ładu wisk naturalnego". (SÜDDEUTSCHE ZEITUNG, 108.)

KONIEC ZIMNEJ WOJNY?



Karykatura przekazana przez prezydenta ZSRR Gorbaczowa prezydentowi USA Bushowi na ostatnim szczycie w Helsinkach: Koniec zimnej wojny?

»Wykluczam możliwość budowy socjalizmu«

Rozmowa z dr. Pawłem Łączkowskim, wiceprzewodniczącym Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego

— Nawet nie zorientowany w polityce Polak wie, że na OKaP-ie pojawiły się grube, przebiegające w różnych kierunkach rzyby. Wydaje mi się, że jest to zjawisko normalne, po prostu w ugrupowaniu tym, wyrosłym z "Solidarności" jako opozycji do komunistów, następuje polaryzacja, różnicowanie polityczne od lewicy do prawicy. Pan uważa się za chadecę. Co to jest dla Pana chadecja w Polsce, jaka jest ona duża, jak wygląda ugrupowanie, w którym Pan działa?

— Dwa zdania jeszcze na temat samej istoty podziału OKaP-u. Słusznie pan zauważa, że jest to naturalny proces,



Paweł Łączkowski, lat 48, absolwent prawa (Uniwersytet Poznański 1966), doktor socjologii (Uniwersytet Warszawski 1975). Do roku 1987 pracownik naukowy Uniwersytetu Poznańskiego, w roku 1981 dyrektor Instytutu Socjologii. W okresie 1982-1987 współpracownik Społecznego Komitetu Nauki. Posel do Sejmu X kadencji z okręgu Poznań, wiceprzewodniczący Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego. Wiceprzewodniczący Stowarzyszenia "Wspólnota Polska".

dlatego że OKaP, jako polityczny klub parlamentarny, jest dość dziwnym tworem. Jest on wręcz zaprzeczeniem idei parlamentaryzmu, w myśl której klub parlamentarny jest emanacją siły politycznej partii i reprezentuje jej interes, realizując założenia taktyczne i strategiczne swego ugrupowania. A myślnie się znaleźli w parlamencie jako przedstawiciele obywatelskich komitetów, bez zaplecza politycznego. "Solidarność" nigdy nie miała własnego strategicznego programu politycznego. Mimo posiadania pewnych cech partii politycznej partią polityczną nigdy nie była i do niej nie aspirowała. I tak długo, jak długo odpowiadaliśmy sobie na pytanie: "Czego nie chcemy, z czym walczymy?", tak długo możliwa była pełna jedność całego tego ugrupowania, w tym także tej jego części, jakim jest Obywatelski Klub Parlamentarny. Ale od pewnego momentu demontaż komunistycznego systemu totalitarnego posunął się w Polsce tak daleko, że trzeba było zacząć zadawać sobie pytanie: "Czego chcemy?". Dla mnie takim momentem zwrotnym było z jednej strony pojawienie się problemu prywatyzacji — jej skali i sposobów przeprowadzenia, z drugiej strony moment pojawienia się rozwiązań o charakterze konstytucyjnym. Od tego momentu musiało dojść do różnicowania. To jest zupełnie oczywiste. Tym bardziej, że różne opcje polityczne istniały w OKaP-ie zawsze, od samego początku. A to dlatego, że duża część członków OKaP-u przyszła do niego już jako ludzie o wysokim stopniu wyrobienia politycznego i ugruntowanych poglądach. Część natomiast to byli regionalni działacze "Solidarności" i samorządów, którzy dopiero dojrzewiali w ogniu pracy parlamentarnej.

— Czy Pan przyszedł już z ukształtowanymi poglądami politycznymi?

— Myślę, że tak, ale to też na tej zasadzie, że wiedziałem, czego nie chcę. To znaczy nie chciałem i nie chcę jakiegokolwiek postaci socjalizmu w Polsce. Wykluczam możliwość budowy "socjalizmu z inną twarzą", itp. Wydaje mi się, że sys-

tem, który próbowaliśmy budować tyle lat, nawet jeśli w koncepcjach socjaldemokratycznych zawiera bardzo wiele wartości istotnych, w odniesieniu do społeczeństwa polskiego nie mógł przynieść pozytywnych rezultatów.

— To jest jednak znowu tylko program na "nie", który Polaków wprowadził, ale nie różnicował.

— Wydaje mi się, że bardzo niedobrym rzeczą w życiu politycznym Polski w tej chwili jest próba odbudowywania krajobrazu politycznego okresu międzywojennego, po odtworzeniu którego można by uznać, że teraz już zbudowaliśmy kraj naszych marzeń. Ja się bardzo boję powtórnego wchodzenia do tej samej wody i patrzę z pewnym sceptycyzmem na próby odtwarzania minionych struktur. Może to brzmie dziwnie w moich ustach, skoro deklaruję się jako chadec i zgadzam się z tym określeniem, sądząc jednak, że trzymając się tej tradycyjnej nazwy konieczne jest zbudowanie w Polsce czegoś, co bym nazwał "nową chrześcijańską demokracją". Użyłbym nawet przedstawienia — "nowa demokracja chrześcijańska". W Polsce potrzebne jest ugrupowanie, które lokując się po prawej stronie sceny politycznej wnosiliby do niej maksimum równowagi i rozsądku. Uważam, że tradycje europejskiej chadecji to jest właśnie pewna wstrzeźliwość, umiarkowanie i rozwaga. Są to zarazem tradycje stosunkowo łatwo przeszczepialne na grunt polski.

— Dla Pana nie jest chadecją Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe prof. Chrzczanowskiego.

— No nie, to jest ugrupowanie nawiązujące wyraźnie do tradycji narodowej demokracji, a nie chrześcijańskiej.

— A więc chadecja to ugrupowanie bez elementu narodowego. Czy to w Polsce jest możliwe?

— Jest możliwe, dlatego że wbrew pozorom tak zwany tradycyjni nacjonalizm polski tkwi w sferze zachowań o charakterze raczej werbalnym niż rzeczowym. To nie jest nam potrzebne. Wręcz przeciwnie, myślę, że trzeba się

wyzbywać tego typu elementów. Chciałbym tu zastrzec, że w moim przekonaniu ani prof. Chrzanowski, ani ZCh-N nie prezentują tendencji brutalnie nacjonalistycznych, którym bym się przeciwstawił.

— *Co więc będzie różniło Pańską chadecję od innych ugrupowań chrześcijańskich?*

— Podstawowym elementem różniącym jest, w moim przekonaniu, uwolnienie się od elementów konserwatywnych, które pojawiają się w Zjednoczeniu Chrześcijańsko-Narodowym.

— *Jaki jest Pański stosunek do demokracji? Rozumiem, że jest Pan za demokracją parlamentarną, nieistotne, czy za jedną izbą czy za dwiema...*

— W naszych warunkach jest to bardzo istotne. Twierdzię, że Polsce jest potrzebny dwuizbowy parlament.

— *W tym nie różni się Pan wiele od innych ugrupowań w Polsce.*

— Generalnie sytuacja w Polsce jest taka, że pierwsze pięć punktów dowolnego ugrupowania politycznego jest wspólne. Wszyscy są za demokracją parlamentarną i za wolnym rynkiem, tylko jedni są za społeczną gospodarką rynkową, a inni za czystą grą ekonomiczną.

— *Pan nie jest za społeczną gospodarką rynkową?*

— Nie, ja jestem zwolennikiem twardej gospodarki rynkowej, bez opiekuńczej funkcji państwa. Nie widzę innego wyjścia.

— *Czym wobec tego różni się Pan od Korwin-Mikkego?*

— Korwin-Mikke nie podnosi elementu ctyki chrześcijańskiej, jako elementu samoograniczającego działalność człowieka. Ale wydaje mi się, że różnicowanie powinniśmy przeprowadzić na zupełnie innych zasadach. Gdybyśmy chcieli te pąkające dopiero ugrupowania polityczne ocenić i znaleźć coś, co je różnicuje, to mogły to być ich stosunek do kolektywu i do jednostki. Trzeba by podzielić je na dwie grupy. Pierwsze to te, które charakteryzują się wiarą w kolektyw, w zespół, w różnej formie. Może to być wiara wyrażająca się zaufaniem do akcjonariatu pracowniczego, do samorządu pracowniczego, tendencja do kształtowania ciał koleżeńskich jako ciał kierowniczych, przenieszenia odpowiedzialności na ciała kolektywne. Natomiast po drugiej stronie znalazłyby się te ugrupowania, które większym zaufaniem



Prof. Chrzanowski



fol. JMG Korwin-Mikke



fol. A. Bessier Mec. Siles-Nowicki fol. P. Onieczyński

obdarzają jednostkę, które wyraźnie dostrzegają szansę jednostki i w polityce, i w działalności gospodarczej, a więc te, które wyrażają wiarę w jednostkę wynikającą z personalizmu. Ja myślę, że my wszyscy nie jesteśmy w pełni świadomi tego, co nas tak naprawdę różni, że kulombria tworzenia ugrupowań politycznych, jaka w tej chwili panuje w Polsce tworzy okres przejściowy, w którym musi się przetrawić ta cała materia życia politycznego.

— *Może konkretnie o samej organizacji. Jak jestcieście zorganizowani, jakie są struktury?*

— Przede wszystkim nie można w tej chwili mówić w Polsce o jednolitym ruchu chadeckim, dlatego że chrześcijańska demokracja jest obecna w tej chwili w życiu politycznym, w bardzo różnych formach. Z jednej strony mamy do czynienia z partią polityczną, wyrażnie się w ten sposób definiującą, o sporych tradycjach, mianowicie Stronictwo Pracy mecenasa Siły-Nowickiego. Dalej mamy cały szereg mniej dojrzałych struktur politycznych. Jest na przykład chrześcijańska demokracja z Krakowa. Są różnego rodzaju kluby chrześcijańsko-demokratyczne. Przykładem może być klub "Sierpień 80" w Poznaniu, którego jestem członkiem. Są niektóre Kluby Inteligencji Katolickiej, które już postrzegają się jako chrześcijańsko-demokratyczne, a nie kluby inteligencji katolickiej w tradycyjnym stylu. To jest na przykład gniczyński Klub Katolików, wyraźnie sterujący w kierunku chrześcijańskiej demokracji. Ja osobiście należę do grupy demokratów chrześcijańskich w ramach OKP.

— *Ilu ich jest?*

— 72 osoby — spośród członków Sejmu i Senatu. Jest to więc grupa, która powstała i działa na terenie parlamentu.

Istnieje nawet pięciosobowy komitet reprezentujący jej interesy, którego jestem członkiem.

— *Jest Pan jednocześnie wiceprzewodniczącym OKaP-u. Jak Pan może to pogodzić? Nie jest Pan w konflikcie samienia?*

— Nie, dlatego że OKaP nie występuje jako instytucja, która nie dozwalałaby mi na działalność w tej grupie, wręcz przeciwnie, struktura OKaP-u i jego regulamin na to pozwala. Nie jesteśmy jedną grupą tego rodzaju, bo jest w OKaP-ie na przykład reprezentowana partia polityczna — PSL "Solidarność", jest grupa liberalna, grupa wyraźnie socjaldemokratyczna, grupa obrony interesów praw pracowniczych — Bugaja, a więc jesteśmy jedną z wielu grup skupiających ludzi, którzy w pewnym momencie doszli do wniosku, że łączy ich jednolite poglądy i że warto po prostu współdziałać ze sobą dla lepszego przedstawiania swojej opinii politycznej i wpływania na stanowisko OKaP-u jako całości, w duchu wartości, jakim chcielibyśmy służyć.

— *Kto oprócz Pana jest w prezydium tego chadeckiego ugrupowania w ramach OKaP-u?*

— Jest poseł z Kielec, pan Edward Rzepka, senator z Nowego Targu pan Krzysztof Pawłowski, mający już bogate doświadczenie w tego rodzaju działalności, warto by wymienić także pana posła Janusza Steinboffa, czy pana posła Michała Chałoskiego. Ale nie chciałbym przeceniać roli tej grupy, dlatego że najważniejsze rzeczy dla rozwoju myśli chadeckiej dzieją się poza parlamentem. Istnieje około czterdziestu różnego rodzaju ugrupowań chadeckich. Część z nich nawiązała kontakty z Porozumieniem Centrum. Odbyła się taka konferencja ugrupowań chadeckich w Krakowie, na któ-

rej uczestnicy zadeklarowali chęć współpracy z PC, co nie wyklucza ich udziału w kształtowaniu się takiej tożsamości chrześcijańskiej demokracji w Polsce w dalszym ciągu.

— *Czy ugrupowanie działające w OKaP-ie jest powiązane z Kościołem?*

— Jest to bardzo istotny problem. Tu muszę powiedzieć jedną rzecz bardzo jasno, bardzo twardo. Bardzo wam się bał powstawania w Polsce partii politycznych, które identyfikowałyby się w sposób bezpośredni z Kościołem, z jednej strony używając Kościoła jako tarczy, jako nośnika swojej popularności, a z drugiej strony uwalniając jego bezpośrednim wpływem, klerykalizacji. Tu trzeba sobie powiedzieć o dwóch możliwych sposobach sposobach działania w momencie, kiedy określamy się jako ruch polityczny o charakterze chrześcijańskim. Z jednej strony można zakładać, kiedy mówimy o sobie "demokraci chrześcijańscy", że po to zawiązujemy ugrupowanie, aby działać jako chrześcijanie. I w tym przypadku musi się to wiązać, w moim przekonaniu, z krótkim związkiem z Kościołem jako instytucją. Natomiast druga możliwość — kiedy określamy się jako demokraci chrześcijańscy, ale nie chcemy działać jako chrześcijanie, a tylko na zasadach chrześcijańskich, czyli zgodnie z pewnymi normami chrześcijańskimi. Ta druga formuła jest dla mnie szersza i bardziej usprawiedliwiona w działalności politycznej. Bo z tej drugiej formuły wynika bardzo istotna rzecz — dobrowolnie, samodzielnie przyjęte samoograniczenie, polegające na tym, że działam tylko tak, jak nakazują mi normy chrześcijańskie.

— *Zalóżymy, że w grudniu odbędą się wybory parlamentarne. Co Pan i Pańskie ugrupowanie mogłoby zaproponować wyborcom w ramach tej filozofii w sprawach ekonomicznych?*

— Zanim odpowiem na to pytanie, chciałbym powiedzieć, że — w związku z teoretycznym terminem grudniowym — jesteśmy w sytuacji bez wyjścia, bo z jednej strony nie powinno się utrzymywać ani o jeden dzień za długo tego parlamentu, z którym mamy do czynienia w tej chwili...

— *A z drugiej strony nie można przeprowadzać wyborów nie mając spektrum politycznego?*

— Otóż to! To jest nonsensowna sytuacja! Mówimy o zróżnicowaniu politycznym, a to nie jest żadne zróżnicowanie, tylko opeje polegające na serwitucie osobistym wobec Wałęsy, Gercemka, Michnika, Mazowieckiego, Korwina-Mikkego i jeszcze innych osób.

— *Co więc na Pan do zaproponowania?*

— Chciałbym zaproponować konsekwentne działanie na rzecz zmian ewolucyjnych. Konsekwentną prywatyzację gospodarki...

— *Z trzydziestoma urzędnikami w agencji do spraw prywatyzacji?*

— Nie jestem przekonany, czy ta agencja jest w ogóle potrzebna jako organ wykonawczy. Raczej powinna ona być tylko organem nadzorczym. Co więcej — musimy odejść od zupełnie nonsensownej wizji akcjonariatu pracowniczego.

— *Kto w takim razie ma kupować te zakłady. Kapitał zagraniczny?*

— Uważam, że bez niego w ogóle nie jesteśmy w stanie się rozwijać.

— *To znaczy, że trzeba dać obcokrajowcom możliwość zakupu ziemi w Polsce?*

— Myślę, że tak, bo to jest przecież gwarancja normalnych warunków kredytowych. Bez własności ziemi nie ma w Polsce mowy o wprowadzeniu normalnego systemu kredytowego dla kapitału zagranicznego.

— *Obcokrajowiec, a także Polak mieszkający za granicą, chcący utworzyć spółkę z firmą polską musi wnieść 50 tys. dolarów jako udziałowiec i zapłacić, jak mnie informowano w Warszawie, około 5 tys. dolarów za jej zarejestrowanie. Czy to jest słuszne?*

— Jestem w ogóle przeciwnikiem określenia minimalnej kwoty, którą obcokrajowiec, czy Polak z zagranicy, może zainwestować w Polsce. Istnienie tej kwoty bowiem eliminuje tych naszych rodaków, którzy mają kilka tysięcy dolarów i chcieliby zainwestować w kraju, ale nie mają pięćdziesięciu tysięcy.

— *Czy są szanse na zniesienie tego limitu?*

— Tak, mamy takie obietnice, zresztą rząd jest świadomy, że jest to nie do utrzymania na dłuższą metę.

— *Jaka jest świadomość wśród Pańskich kolegów tego, że cla eksportowe, których nie ma na całym świecie, z wyjątkiem państw komunistycznych i postkomunistycznych, jak Polska, hamują rozwój gospodarki, zabijają koniunkturę. Z*

moich rozmów w Polsce wynika, że świadomość istnienia takiego sprzężenia jest niska, nawet wśród członków parlamentu.

— Ja akurat i część moich kolegów jest świadomością mamy. Clo eksportowe jest pozostałością okresu, w którym dominowały obawy o zaopatrzenie własnego rynku. W normalnej gospodarce jest to oczywiście nie do pomyślenia. Myślę, że zniesienie tego cla powinno być jednym z najbliższych posunięć w polityce celnej.

— *A jak Pańskie ugrupowanie zapatruje się na politykę podatkową? Jak powinna wyglądać w Polsce podatki?*

— To zagadnienie było rozwiązane zanim jeszcze powstało ugrupowanie. Pobierając nauki u dobrych ekonomistów i wiem, że konieczne jest funkcjonowanie jednego tylko podatku, takiego jak na całym świecie, to znaczy zbiorczego, od dochodów.

— *Ostatnie pytanie, w przypadku chadecji szczególnie istotne. Jaki jest Pański stosunek do przerywania ciąży? Tu, na Zachodzie, jest to w życiu politycznym kamień, o który można się potknąć. Między innymi jest to sprawa, która utrudnia zjednoczenie Niemiec; bo w NRD i w RFN regulują ją inne przepisy prawne.*

— Jest to kamień, o który można potknąć się wszędzie, a w Polsce może przede wszystkim. Ja jestem przeciwnikiem przerywania ciąży. Zło społeczne, jakie jest z tym związane, jest potworne. Natomiast jako prawnik nie akceptuję tych wersji, które kobietę doprowadzają do ostateczności traktują jak podmiot o charakterze przestępczym. Myślę, że w tym przypadku konieczne jest wypracowanie formuły, która by z jednej strony zniechęcała do tego rodzaju praktyk, a z drugiej strony nie pozwalała na instrumentalne traktowanie przepisów prawnych.

— *Dziękuję Panu za rozmowę.*

Akwizgran, dn. 26.08.90

Pytania zadawał: Edward Klimeczak
(Rozmowa autoryzowana)

Polnische Versandbuchhandlung
Polska Książarnia Wysyłkowa

Bodenbacher Weg 9
6000 Frankfurt/M 70
tel. 069/6313977

WAWEL
Księgarnia Polska

Stephanstrasse 11
D-5000 Köln 1
tel. 0221/246160

katalogi wysyłamy na życzenie

Elżbieta Szawarska

Urodzaj na fundacje

Urzędniczka Sądu Rejonowego dla Warszawy-Pragi, rejestrującego powstające w całej Polsce fundacje: "Dawniej byli bardziej uprzejmi. Wyjaśniali i prosili: Dla nas każdy dzień na wagę złota, przecież już pieniądze mogłyby wpływać na konto! Odkąd rozeszła się wieść o planowanej zmianie ustawy, są nerwowi. Przed drzwiami ciągle kolejka interesantów, zaczęły się ponaglenia, nawet groźby. Często mówią, że trzeba złapać ten pociąg, choćby ostatni wagon!"

Ustawa o fundacjach – opracowana z myślą o mającej wówczas powstać kościelnej fundacji wspierania rolnictwa, przykrojona do tego celu i tamtych realiów – działa od kwietnia 1984 roku. Do końca 1988 r. zostało zarejestrowanych 98 fundacji. W ciągu 1989 r. ich liczba wzrosła dwukrotnie, ale prawdziwa lawina ruszyła dopiero teraz. Na początku roku było ich 278, w końcu czerwca 580 i około 80 czekało na rejestrację. Od wiosny napływa miesięcznie ok. 70 wniosków rejestracyjnych. Przyczyną tego pierwszego "skoku" była zmiana w przepisach dotyczących zakładania spółek z o.o., chodziło o podwyżkę kapitału zakładowego do minimum 10 milionów złotych.

Po sześciu latach funkcjonowania ustawy można mówić wręcz o kilku etapach i metamorfozie, jaką przeszły polskie fundacje. W latach 1985-1988 nie brakowało takich, które nie ubiegają się o zezwolenia na działalność gospodarczą, a o realności ich celów świadczył solidny kapitał w walucie wymiennej. Założyciele korzystali z tej właśnie formy prawnej, by na dogodnych warunkach przekazać społeczeństwu dar i powierzyć go starannej pieczy (np. Fundacja Zbiorów im. Ciechanowieckich, kapitał zakładowy – 150 tys. dolarów USA, fundator, dr Andrzej Ciechanowiecki z Sydney przekazał na Zamek Królewski, Wawel i kilku polskim muzeom bezcenne eksponaty i depozyty) albo fundować nagrody czy roczne stypendia, będące najczęściej równoważnością odsetek od kapitału zakładowego ("Wieczysta

Fundacja im. Zofii i Karola Wendów", fundacja im. Janusza Grabińskiego).

Równoległe pojawiły się fundacje, których działalność miała służyć celom bardziej ogólnym: otoczenie opieką dzieci niepełnosprawnych, chorych, osieroconych, wybitnie uzdolnionych, wspieranie różnego rodzaju twórczości, rozwoju kultury, odbudowa zabytków (np. pomoc dzieciom z chorobami nowotworowymi deklaruje fundacja "Spełnienie marzeń", założona przez Spółdzielnię Pracy Wytwórczo-Usługowej "Nasza Przyszłość"). W grupie pierwszych założycieli, obok Polaków zamieszkałych poza granicami kraju,

»Ustawa o fundacjach działa od 1984 roku. Do końca 1988 r. zarejestrowano 98 fundacji. W ciągu 1989 r. ich liczba wzrosła dwukrotnie, ale prawdziwa lawina ruszyła dopiero teraz. Na początku roku było ich 278, w końcu czerwca 580 i 80 czekało na rejestrację. Od wiosny napływa miesięcznie ok. 70 wniosków rejestracyjnych. Przyczyną tego pierwszego 'skoku' była zmiana w przepisach dotyczących zakładania ...spółek z o.o.«

znaleźli się operatywni przedstawiciele urzędów państwowych, organizacji społecznych i spółdzielni. Liczyli na kontakty z zagranicznymi instytucjami i organizacjami, prowadzącymi po-

krewną działalność, na pomoc polskich władz i instytucji. Ponieważ możliwości stałej współpracy z fundacjami zagranicznymi okazały się znikome, a starania o przydział lokalu, terenów budowlanych czy przejęcie od państwa budynków na prowadzenie działalności ciągnęły się latami lub natrafiały na bariery finansowe, bilans osiągnięć wielu fundacji wygląda żałośnie. Zwłaszcza w zestawieniu z deklarowanymi celami i programem.

Księżę rejestrową fundacji polskiej, którą otwiera szacowana fundacja Jakuba hrabiego Potockiego, ustanowiona jego testamentem w roku 1934, można czytać również jako zapis przemian politycznych i gospodarczych: przeobrażania się PRL-u w Rzeczypospolitą Polską. Nie brakuje tam oczywiście prestiżowych fundacji sejmowych i senackich (nicmal każda komisja założyła swoją), ministerialnych i prywatnych (fundacja kardynała Glempa, fundacja Lecha Wałęsy). Np. reforma w oświacie, dopuszczająca możliwość tworzenia prywatnych i społecznych szkół, zaowocowała falą różnej wielkości fundacji szkolnych. A podniosłe hasła o likwidacji starych nieruchomości, biurokratycznych tworów, pospiesznym zakładaniem fundacji "nomenklaturowych", czyli przyoblekanie tych tworów nową formułą prawną, która pozwoli zachować lub choćby przedłużyć dotychczasowy status dyrektorów, prezesów, naczelników.

Sędzia Małgorzata Gromek z Sądu Rejonowego dla Warszawy-Pragi: "Gdy ilość tego typu wniosków zaczęła wskazywać, że mamy do czynienia z rozległym zjawiskiem, skierowałam jeden z nich, dotyczący Centralnego Związku Spółdzielni Mieszkaniowych, do rozpatrzenia przez wyższą instancję, Sąd Wojewódzki" (który rejestracji dokonał – przyp. E.Sz.).

Szaleńczy pęd do zakładania fundacji i pospolicich w ich rejestrowaniu ma przyczynę głównie ekonomiczną. Nie zdarzają się już statuty nie przewidujące działalności gospodarczej. Zdumienie zaś budzi szokująco niska wyso-

kość wnoszonego kapitału: często poniżej miliona złotych. W Departamencie Prawnym Ministerstwa Kultury i Sztuki złożono ostatnio dokumenty fundacji, których kapitał zakładowy na prowadzenie działalności gospodarczej wynosił 300 i 100 tys. zł (ewenementem był fundusz 30 tysięcy zł). Równocześnie widoczna staje się tendencja do zwiększania liczby założycieli, kapitał zakładowy tworzony jest więc na zasadzie popularnej "zrutki".

W parze z coraz mniej konkretnym formułowaniem celów fundacji, które ogólnie chcą "krzewić, rozwijać, popierać, upowszechniać czy przywracać dawną świetność", idzie chęć posiadania zgody na prowadzenie działalności gospodarczej o jak najszerzym charakterze. Szkoły są dwie: założyciele albo przepisują tzw. "KGN" (klasyfikację gospodarki narodowej, praktycznie wszystkie branże i wszystkie formy działalności), albo składają wniosek o zwolnienie z obowiązku podawania rodzaju działalności (argumentacja, że inne podmioty gospodar-

zej fundatorzy najchętniej podejmują "społecznie użyteczną" działalność, była i jest kultura. (w końcu sierpnia MKiS podlegało 240 fundacji).

Parafrazując pełen niepokoju okrzyk, jaki rozległ się na trzecim piętrze praskiego sądu: "Zebyśmy nie zostali z walizką na peronie!" i licząc uwagi patentów o pośpiechu, można powiedzieć, że istotnie jest to chyba ostatni pociąg według starego rozkładu jazdy. Przejechały te w komunikacji międzynarodowej, i te z miejscami do leżenia, nawet mniej wygodne wagony drugiej klasy. Teraz trwa walka o miejsca na korytarzu — byle wsiąść, przejechać choć kawałek: zanim zaczną sprawdzać bilety, albo podniosą ich ceny.

Barczo liberalna praktyka ostatnich lat, tzn. zatwierdzanie wszelkich fundacji i obdarzanie ich niemal ślepym zaufaniem, wynikała ze skądinąd słusznego założenia, że nawet najskromniejszą działalność społecznie użyteczną należy przeciwstawiać powszechnej apatii i obojętności. I jeśli nie wspierać, to przynajmniej nie prze-

autystycznych, skazanych do tej pory na znikomą pomoc i pozyjęu petenta wobec instytucji państwowych).

Pozostaje jednak wątpliwość wyrażona przez pracownika fundacji, która od pięciu lat tak bardzo niby pomaga dzieciom: "Owszem, co roku wymieniamy w sprawozdaniach wysokość przyznanych stypendiów szkolnych i wartość ufundowanych nagród rzeczowych. Czego nie piszemy? Tego, jak kwoty te mają się do innych sum: pensji pobieranych przez etatowych pracowników, premii wypłacanych członkom zarządu, kosztów podróży służbowych — w tym zagranicznych — celem nawiązania kontaktów, czy sum wypłacanych autorom licznych opracowań, założeń programowych i projektów, o których z góry wiadomo, że nigdy nie znajdą praktycznego zastosowania. Nie ujawnię swojego nazwiska ani konkretnych faktów, bo ja mam co prawda kiepską płacę, ale nie chcę stracić pracy..."

Nadzór nad fundacją sprawowany przez właściwego ministra wygląda tak: minister (kilka razy) prosi członków zarządu o przesłanie sprawozdania z działalności fundacji, a ponieważ fundacje nie mają obowiązku podawania adresu aktualnej siedziby najczęściej znany jest tylko numer konta, na które można wpłacić pieniądze. Pisma wysyła się na figurujący w aktach prywatny adres założyciela i zwykle następuje cisza. Tylko nieliczne fundacje jeden z odpisów sprawozdania ze swojej rocznej pracy kierują do ministerstwa. Chętniej wysyła się je do sponsorów honorowych (patrz: Fundacja Sztuki Dziecka).

W przypadku nasilania się tzw. niepokojących sygnałów (np. listy, donosy, raporty Izby Skarbowej o załagodziłach podatkowych) ministerstwo ma obowiązek przeprowadzania kontroli. W Ministerstwie Kultury i Sztuki, któremu podlega największą ilość fundacji, odpowiedni departament zleca to zadanie pracownikom Wydziału Kontroli. Sprawa zagadkowego zaginięcia części środków fundacji im. Franciszki Eibischowej (ustanowionej testamentem prof. Eibischa) utknęła w departamencie plastyki. Trwa kontrola Fundacji Odnowy Konstancina, bo zarządzanie zgromadzonymi w niej środkami wywołało już nie tyle plotki,



Mają krzewić, rozwijać, popierać...

Collage: Jarosław M. Goliszewski

czyste zostały już z niego zwolnione, a liczba koncesjonowanych dziedzin ciągle maleje, jest w tym przypadku skuteczna).

Przydaje się również umiejętność takiego formułowania celów fundacji, aby statut można było przesłać do zatwierdzenia jednocześnie kilku ministrom: np. kultury, edukacji narodowej, zdrowia lub opieki społecznej. W konkursie na "włóczęgę ministra" wygrywa ten, kto szybciej wyda decyzję, umożliwiającą złożenie wniosku o rejestrację w sądzie. Dziedzina, w któ-

szkadzać. Przy całym szacunku dla tej argumentacji, nie można — choćby ze względu na ich stale rosnącą ilość — rozpatrywać kwestii związanych z polskimi fundacjami w oderwaniu od zachodzących procesów gospodarczych, czy rezygnować ze stymulowania ich rozwoju w pożądanym kierunku. Z punktu widzenia interesu społecznego, najbardziej potrzebne są fundacje o jasno określonym celu i programie świadczeń na rzecz konkretnego środowiska (powstają niewielkie fundacje, zakładane np. przez rodziców dzieci

co prawdziwy skandal... Ale nie zdziżyło się jeszcze, aby minister domagał się zmiany zarządu fundacji bądź jej likwidacji.

Rzecznik prasowy Najwyższej Izby Kontroli, Jan Bieda: "NIK mogłaby przeprowadzić kontrolę fundacji jedynie w wypadku, gdyby korzystała ona w jakimkolwiek stopniu z dotacji pochodzących z budżetu państwa. Nie znam wypadku zgłoszenia do NIK takiego wniosku."

System kontroli mógłby być zbieżny z systemem podatkowym, ale pod warunkiem, że będzie uwzględniał ostatni trend wśród polskich biznesmenów, czyli już nie jeden duży interes i duży zysk, a tworzenie sieci ogniw pomocniczych i pośredniczących, osiąganie mniejszych, za to częściej pobieranych zysków. Umieszczenie fundacji – obok spółek z o.o., *joint ventures* czy spółdzielni – na szczydach reklamowych agencji prawniczych może nie tyle świadczyć o tym, że fundacja jest tą najbardziej uprzywilejowaną formą prowadzenia działalności, co o tym, że raczej widziana jest ona (choćby w świetle korzystnych ulg w podatku dochodowym) jako jedno z ogniw łańcucha podmiotów gospodarczych. A dla udziałowców kilku prywatnych spółek często jest właśnie tym "brakującym ogniwem".

I tak jest na całym świecie. Więcej – kureczenie się sfery budżetowej, prywatyzacja gospodarki, rozwój lokalnej samorządności i powstawanie nowych fundacji można uznać za spójny proces przemian. Pod warunkiem, że etap zachwytów z powodu powołania Fundacji Rozwoju Sygnałów Mysłwińskich czy Fundacji "Młodzież Polska Dogoni Europę przed Końcem XX Wieku" mamy już za sobą. Że w tym interesie nie będzie ewangeta i niekennych oszustw.

Elżbieta Szawarska

Fragmenty sprawozdania z działalności Fundacji Szuki Dziecka za rok 1988.

1. Utworzenie Wszechnicy Filmowej dla Dzieci i Młodzieży

Prezydent miasta popadł nasze starania o lokalizację placówki. Przydzielił nam dwa kina – "Młoda Gwardia" i "Przyjaźń". (...) Niestety, koszty wynajmu obiektu tak wzrosły, że nasza w końcu niekomercyjna działalność, wynagubaby funduszy przekraczających nasze możliwości. Rozumiemy nową komercyjną politykę w stosunku do kultury i dlatego będziemy nadal walczyć o, by piękną obiekty w centrum miasta nie przekształciły się np. w kantor wymiany.

2. Centrum Informacyjno-Repertuarowe Teatr Dzieci i Młodzieży

(...) Działalność Centrum wymaga dotacji, która jest przyznawana Bibliotece Repertuarowej i mogłaby być automatycznie przeniesiona na Centrum – niestety, władze miasta, mimo wcześniejszych deklaracji, nie rozwiązały sprawy lokalu.

3. Teatr Dźwięku

(...) Opracowane zostały założenia programowo-organizacyjne eksperymentalnej placówki.

4. Dziecięca Orkiestra Kameralna

Zostały opracowane zasady organizacyjne. (...) Fundacja w kontaktach z młodymi muzykami stwierdziła, że jednym z najważniejszych problemów, który stawia pod znakiem zapytania edukację muzyczną w ogóle, jest nieproporcjonalny brak instrumentów. Fundacja podjęła inicjatywę zorganizowania ogólnospołecznej dyskusji nad tą sprawą.

5. Centrum Piosenki Dziecięcej

Opracowano założenia programowe. Zawiązał się zespół fachowców. Planowana premiera Centrum – 1989.

6. Impresariat Szkolny

Fundacja Szuki Dziecka, obserwując sytuację wycieczek szkolnych, jakie przybywają do Warszawy, stwierdziła, że w większości wypadków są one źle zorganizowane i mimo poniesionych kosztów niczego dzieciom nie przynoszą. Zarząd Fundacji zlecił opracowanie zasad organizacji takich pobytów. (...) Takie opracowanie zostało przygotowane i przedstawione władzom oświatowym do oceny. Zarząd Fundacji nie widzi możliwości organizacji tego przedsięwzięcia bez akceptacji i współpracy MEN.

7. Centrum Twórczości Plastycznej Dziecka

Opracowane zostały założenia organizacyjno-programowe Centrum. Przewidywany termin otwarcia – czerwiec 1989."

Zadna z wymienionych siedmiu instytucji dotąd nie działa.

900.000 "TURYSTÓW" Z NRD W GUBINIE

Wg szacunkowych danych wschodniemieckich celników w sierpniu br. ponad 900 tys. Niemców przeszło przez Odrę do polskiej części miasta Gubin (niem. Gubben) wyłącznie w celu dokonania zakupów. W lipcu liczba wschodniemieckich "turyistów" wynosiła tylko 450 tys. W końcu sierpnia granicę przekraczało ponad 25 tys. dziennie.

Wschodni Niemcy wyposażeni w twarzą markę zachodnią odkryli, że Polska jest dla nich handlowym Eldorado: kupują co się

da – kurki dzinsowe z podbiciem za DM 50,- (w Berlinie Zach. ponad DM 200,-), karton papierosów za DM 20,- (Berlin Zach. DM 42,-), chleb za DM 0,80 (DM 3,-). Tyle samo kosztuje tu kostka masła (w B.Zach. DM 2,50). Oprócz tego kryształ, kasety, zabawki, rowery, buty i odzież. Polscy prywatni handlarze, którzy tuż za przejściem z samochodów sprzedają towary, są zadowoleni, mieszkańcy Gubinie zaś przypominają sobie Josiefa ub. roku, kiedy rząd Modrowa wydał

wobec Polaków odwiedzających Wschodnie Niemcy zakaz nabywania towarów w NRD. NRD-owscy Niemcy z zażenowaniem próbują znaleźć teraz usprawiedliwienie: "Samy wówczas nie mieliśmy wiele". Niektórzy są za zniesieniem obowiązku wizowego dla Polaków, co może poprawi stosunki między Polakami i Niemcami. Reportera zachodniobermińskiego dziennika TAGESPIEGEL ogarniają wątpliwości, czy jest to możliwe: opuszczając Guben zauważa wymalowane na znakach drogowych "Hakenkreuze" i nazistowskie hasła. (TAGESPIEGEL, 28 VIII)

Katarzyna Dolińska, Anna Stelmasiak

Wieczory przy ruletce

Pomysł ruletki przypisuje się francuskiemu matematykowi i filozofowi XVII w. Blaise Pascalowi, który zajmując się badaniem rachunku prawdopodobieństwa skonstruował przyrząd z wirującym cylindrem i numerami. Pół wieku po śmierci Pascala ruletka zaczęła pojawiać się w salonach gry. Do dziś istnieje pogląd, lansowany przez zwolenników gier losowych, że są one sprawiedliwsze od gier strategicznych, bo dają absolutnie równe szanse wszystkim uczestnikom, i że grą "królewską", wobec tego, nie są szachy, a ruletka.

Pierwsze warszawskie kasyno gry – po okresie hazardowego postu trwającego tyle lat, ile rządził w Polsce komunizm – otworzyło swe podwoje w hotelu "Victoria" w dn. 8 września 1989 r. Spółka "Cherry" z udziałem zagranicznym patronuje także kasynom w Krakowie i Sopocie. Inna, "Casino Poland", jest właścicielem kasyna w Poznaniu, w stołecznym hotelu "Marriott" i krakowskim "Pod Różą".

Kasyna otwarte są od 13.00 do 5.00 rano, wstęp jest wolny. Ale w "Victorii" legitymują nas, spisują numer dowodu osobistego i adres. "Bramkarz" patrzy tak, jakby się wahał, czy nas w ogóle wpuścić. Dyrekcja kasyna zastrzegła sobie bowiem prawo selekcjonowania gości. W "Victorii", oprócz

zwykłych kart wstępu, istnieją karty "starego gościa" i tzw. karty VIP (very important person). Te ostatnie upoważniają m.in. do korzystania za darmo z barku i są wydawane nielicznym wybrańcom. Na co dzień częstymi bywałkami tego kasyna, jak twierdzą pracownicy, są handlarze, taksówkarze i goście hotelowi.

Jest już po godz. 21.00, a przy automatach pustki, przy kartach nie ma nikogo, gra w ruletkę toczy się przy jednym z pięciu stołów. Wolno palić, wolno pić, można obstawiać. Zasady gry wyłożone są na stolikach. Jeżeli ktoś obstawi i trafi jeden numer, wygraną wypłaca się w stosunku 35:1, jeżeli dwa numery jednocześnie – w stosunku 17:1, trzy – 11:1, cztery – 8:1, sześć – 5:1. Można też jednym żetonem obstawić 12 numerów i w



fol. Casino Warsaw

wypadku trafienia za jednego dolara otrzymuje się dwa. Obstawiamy trzy razy po dolarze i wychodzimy splukane, choć są tacy, którzy zgromadzili cały stosik żetonów.

Kasyno w hotelu "Forum" – ponoć nielegalne, gdyż spółka Samuela Friedlera nie otrzymała potrzebnych zezwoleń – jest małe, obskurne i nieprzyjemne. Nikt nas nie zatrzymuje przy wejściu, w środku sami panowie w strojach raczej niedbałych. Najsympatyczniejszy wydaje się barok, z którego z umiarem korzystamy, czując wymowne spojrzenia gości.

Przy wejściu do "Marriotta" podpisujemy oświadczenie, że jesteśmy pełnoletnie, że nie będziemy fotografować i nie oddamy tej kartki, którą podpisały-

my, innej osobie. Obowiązują stroje wieczorowe, co sprzeczne jest z tym, że panowie muszą mieć marynarki (krawaty już niekoniecznie). Marynarkę można wypożyczyć na miejscu, za darmo, zostawiając w depozycie 20 dolarów. Tutaj gra idzie na całego, a prym wiodą Japończycy i Arabowie (zwłaszcza z krajów, gdzie hazard jest zakazany). Przy każdym ze stolików panuje spory tłok, plansza pokryta jest żetonami, stawki raczej wysokie. W żużelnym z kasyn nie zauważyliśmy, aby ktoś "bawił się" w obstawianie pół o najniższej wygranej — w stosunku 1:1 czyli np. czerwone i czarne, parzyste i nieparzyste. To dobre dla amatorów-nowiejszy, a do dobrego tonu należy przyjęcie nonszalanckiej pozycji stałego bywalca.

Jeżeli ktoś siada do gry, to raczej na parę godzin, stąd też chętniej jest o wiele więcej niż miejsce. Nie słychać żadnych, przynajmniej z filmów i literatury, komend: *faites vos jeux, rien ne va plus*. To ruletka amerykańska i mówi się po angielsku: *place your bets, please, no more bets*. Gracze mają miny pokerzystów, na ich twarzach nie widać żadnych emocji, ani przy wygranej, ani przy przegranej. To najbardziej zdumiewa Amerykanów, którzy jako jedyni reagują spontanicznie i hałaśliwie: "Ale tu u was cisza. U nas, w Vegas, to jest dopiero gra!"

Kiedyś w jednym z warszawskich kasyn zepsuła się klimatyzacja i pracownicy wspominają ten dzień jako zupełnie niezwykły. Nareszcie zrobiło się jak w Vegas... Gęste opary papierosowego dymu, duchota, pot lejący się z czoła: taka atmosfera zwiabiła tłumy gości i wreszcie wytworzył się prawdziwy nastrój hazardu.

W warszawskich kasynach najniższa stawka przy grze w ruletkę wynosi dolar, najwyższa — 500. Przy maksymalnym szczęściu, obstawiając jeden numer we wszystkich kombinacjach, można wygrać 9800 dolarów. Pracownicy jednak nie przypominają sobie takiej wypłaty, najwyższe wahają się w granicach 2-6 tysięcy. O przegranych trudno mówić, zdarza się, że w ciągu jednego wieczoru ktoś dużo wygrywa, a potem dużo traci.

Krupierka: "Moja koleżanka ode-



Hazard w Warszawie — Casino Poland w hotelu "Marriott" fot. JMG

szła z pracy i zaangażowała się jako stewardessa. Nie wytrzymała psychicznie patrząc, jak ludzie przegrywają bez opamiętania tak wielkie sumy".

Każdy, kto angażuje się do pracy w kasynie, otrzymuje absolutny zakaz kontaktów z prasą, dlatego nasi rozmówcy zastrzegli sobie anonimowość.

Pracownik I: "Nie wolno mi rozmawiać o pracy nawet z najbliższą rodziną. Nie wolno mi grać, nie wolno wejść do

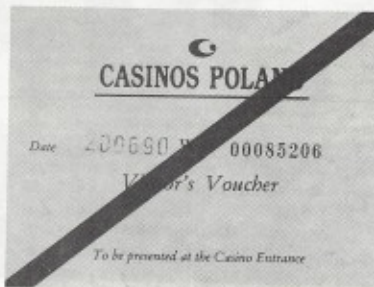
nie, to dobrze wpływa na gości. Musi też mieć podzielną uwagę; czasem grający próbują oszukiwać, przedstawiając lub przesuwać żetony już po zatrzymaniu kulki. Żetony ustawia się na polach, a także na skrzyżowaniach linii, często więc gracz i krupier mogą mieć odmienne zdanie, które numery zostały obstawione. Każdą grę obserwuje inspektor, on też rozstrzyga podobne nieporozumienia. W wyjątkowych wypadkach interweniuje dyrekcja kasyna. Przy grze w karty ujawnia się np. niezdeterminowanie ludzi, co denerwuje innych gości, więc trzeba łagodzić napięcia. Jeżeli ktoś jest pijany, albo przeszkadza grającym, natychmiast usuwa się go z kasyna.

Krupierzy mają zaszyte kieszenie, a pieniądze, które otrzymują za żetony, wsuwają do *drop-bosku*. Jeśli otrzymują napiwek — również on idzie do wspólnej kasy. Po skończeniu gry pieniądze dzielone są między wszystkich krupierów, pracujących przy danym stole.

Pracownik II: "Kieszenie zaszyte są głównie dlatego, by nie prowokować gości. Nie wydaje mi się, by można było dokonać oszustwa w porozumieniu z krupierem. Jeśli jednak przy moim stoliku zasiada ktoś znajomy, choćby to była znajomość przelotna, muszą to zgłosić. Wówczas albo nakładam się gościa, by zmienił stolik, albo zmieniam go ja. Nie może być żadnego emocjonalnego porozumienia między grającym a krupierem. Oczywiście, jeśli ktoś wygrywa, cieszę się razem z nim, ale jeśli prosi, by wskazać mu jakiś numer, stanowczo odpowiadam: to są pana pieniądze i to pan gra".

Jak twierdzą "wtajemniczeni", krupier może przewidzieć nie tyle trafienie w jeden określony numer, co w pewną część segmentu tarczy. Ale ponieważ krupierzy dobrze zarabiają i chronią swoją pracę, gracze skazani są na własne systemy "rozpracowania" koła ruletki.

W 1964 r. prasa światowa szeroko pisała o rozbiću banku w kasynie w Baden-Baden przez Ryszarda Jureckiego, amerykańskiego inżyniera-elektronika polskiego pochodzenia, Vladimira Graneca, bankiera czeskiego, i Hansa Burglego, Szwajcara. Trójka ta przez 6 tygodni obserwowała dwa stoły gry w ruletkę, notując "wychodzące" numery. Lista 20 tys. numerów została przesłana do Londynu i poddana analizie przy pomocy elektronicznej maszyny cyfrowej.



Węściówka do kasyna "Poland"

innego kasyna w Polsce i na świecie."

Krupier (pracuje w tym zawodzie sporo kobiet) musi posiadać zdolności manualne, umiejętność szybkiego liczenia. Powinien pracować pewnie i spokoj-

Ustalono pewne preferencje numerów, bowiem obieg kulki po obwodzie cylindra powoduje drobne nierówności, co ma podobno wpływ na rezultat. W dwa lata potem prasa włoska podała równie sensacyjną wiadomość o rozbiściu banku w kasynie w San Remo. Grupa siedmiu graczy, Jugosłowian i Niemców, posługiwała się, jak oświadczyli dziennikarzom, "mózgiem elektrycznym". Ciągi numerów przekazywane były aparaturze cyfrowej w RFN. Dyrekcja kasyna w specjalnym komunikacie odrzuciła możliwość matematycznego opracowania systemu i dowodziła, że wygrana była po prostu wynikiem szczęścia.

Przez wiele lat władze w Polsce zaciekle przeciwstawiały się hazardowi. Być może dlatego, że kojarzono go z możliwością łatwego i szybkiego wzbogacenia się, nie objętego kontrolą państwa. A jednak wbrew tym skojarzeniom, polskie kasyna gry są miejscem normalnej, spokojnej rozrywki i to w godzinach, kiedy wszystkie inne lokale są już pozamykane.

Katarzyna Dolińska
Anna Stelmasiak

Od Wydawcy: Z punktu widzenia polskich interesów narodowych ogromnym nieporozumieniem jest udział zagranicznych "inwestorów" w prowadzeniu kasyn gry. Inwestycje w otwarcie kasyna (stoły plus przeszkolenie pracowników) są w relacji do zysków minimalne, zysk zaś jak twierdzą fa-



chowej jest wysoki, jako że szansa wygranej kasyna wobec gracza jest z góry obliczona i wynosi 1:1,8, co oznacza, że w ogólnym bilansie z każdej stawki kasyno kasuje 64,248% wkładu. Zagraniczni właściciele kasyn mają tu więc swoją złotą żyłę, otrzymując z Polski twardą walutę nie w zamian nie dając — ani nowych technologii, ani produktów, ani nawet jakiegś znacznej ilości miejsc pracy. Świadomość tego stanu rzeczy istnieje wśród posłów do Sejmu: wydanie obcokrajowcom pozwolenia na prowadzenie kasyn gry usankcjonowało odpływ dewiz z Polski za granicę — stwierdził wobec wydaw-

cy "Poglądu" wiceprzewodniczący OKP, dr Paweł Łączkowski. Uzasadniony jest więc postulat rewizji koncesji dla obcokrajowców.

Państwo — właścicielem kasyna? — krzyknął ze zgrozą liberałowie. Nie tyle chodzi tu o prawo własności, ile o udział państwa w zyskach, taki np. jak w Berlinie Zachodnim, gdzie kasyno gry SPIELBANK BERLIN odprowadza do publicznej kasy, jak poinformował "Pogląd" rzecznicz Senat Thronieckie, 90% dochodów brutto, w tym również z napiwków krupierów, co w ubiegłym roku dało pokaźną sumę 68 mln marek. (E.K.)

Renesans wiejskiego dworu

Na przelomie wieku było ich 20 tysięcy. Przeżyły obie wojny, w tym niemiecką i sowiecką okupację. Po 45 latach komunizmu pozostało ich tylko

900. Wiejskie dwory — ogniska polskiej kultury i prawdziwego patriotyzmu przeżywają dzisiaj renesans.

Przesuwa fotel po dębowej podłodze upiękkszanej filigranowymi wstawkami z klonu i mahoniu, a następnie otwiera annały swoich przodków — Andrzej Nowak-Zempliński, 41 lat, z wykształcenia architekt, z powołania artysta, właściciel szlacheckiego dworu we wsi Tulowice, 70 km na północny zachód od Warszawy.

"Jeden z moich pra-pradziadków walczył w Powstaniu Listopadowym 1830 r. przeciwko Rosjanom" — mówi pokazując wyblakłą fotografię. "A to jest mój pradziadek. Uczestniczył w Powstaniu Styczniowym 1863 r. przeciwko Rosjanom." Następnie przekłada trzecią fotografię. "To mój ojciec. Walczył przeciwko Sowiecom w 1920 roku."

Nie nienawidzę do wschodnich sąsiadów Polski jest dla Nowaka-Zemplińskiego powodem do zgłębienia historii własnej rodziny. Jest to raczej szukanie kontynuacji i historycznego uzasadnienia własnej walki o od-tworzenie niewielkiej części owej mozaiki społecznej, umyślnie zniszczonej przez komunistów po dojściu do władzy.

Częścią tej mozaiki restaurowanej przez niego wraz z żoną Aleksandrą jest XVIII-wieczny dworek szlachecki we wsi Tulowice. Zbudowany w stylu klasycystycznym z filarami przy frontowym wejściu, do którego — obok wozowni i koińszni — prowadzi od bramy podjazd dla gości, tulowicki dwór ze swoimi 12 pokojami jest jednym z nielicznych, istniejących jeszcze okazów tego gatunku.

"Kiedy ujrzałem go po raz pierwszy, nie było tu ani drzwi, ani okien" — mówi Nowak-Zempliński, "Do nikogo nie należał i nikt się oń nie troszczył." (...) "Komuniści nienawidzili wszystkiego, co im obce."

Odpowiadało to ich ideologicz-

mu credo o bezklasowym społeczeństwie. Wiejskie dwory były nie tylko siedzibami szlacheckiego ziemiaństwa, przez wieki wywodzili się z nich również narodowi przywódcy. Były skarbnicą polskiej kultury i ogniskami patriotyzmu, który rozpalał się, nieczadko z katastrofalnymi skutkami, w okresach obcej okupacji.

"Korzenie narodu znajdują się w szlacheckim dworze" — mówi Marek Skrzyński, przewodniczący Towarzystwa Ochrony Zabytków. "Dlatego też komuniści skazali je na zapomnienie jako symbole ucisku."

Niektóre z nich zostały przejęte przez państwo, zamieniono je na szkoły i szpitale, większość podzieliła los tulowickiego dworu. Bezpośrednio po wojnie urządzono tu państwowy magazyn. Później dworek przekształcono w składnicę nawozów sztucznych, a w 1968 r. pozostawiono go na pastwę losu, by zaczął odtąd niszczyć nikomu

nych, aby dwór Nowaka-Zemplińskiego zdradzał wyglądem, że ma troskliwych właścicieli. Sufit w salonie otrzymał nowe freski, nad kominkiem powieszono lustro w pozłacanych ramach, fortepian postawiono przy francuskich drzwiach prowadzących do 3,5-hektarowego parku. Ściany w bibliotece wyłożono mahoniową boazerią. Przytułek w dworku, umeblowanym w stylu klasycystycznym, znalazły też dzieła sztuki, w tym rzeźba z brązu ocalała w Powstaniu Warszawskim w 1944 r.

Nowak-Zempliński kupił dworek od państwa, kiedy w powłoce narzuconej przez komunistów na przeszłość zaczęły pojawiać się dziury. W latach 80-ych tylko niewielu odważyło się na coś podobnego obawiając się, że władze zmienią swoją politykę. Jednakże ubiegłoroczny upadek komunizmu oraz nowe ustawodawstwo wywołały oznaki zainteresowania. Janusz Lipiński, współdziałalowiec w warszawskiej firmie nieruchomości specjalizującej się w sprzedaży zabytkowych budynków, mówi: "Na początku roku na pierwszego klienta czekaliśmy dwa tygodnie. Teraz mamy ich setki!"

Większość nabywców istniejących jeszcze wiejskich dworków powodowana jest tymi samymi motywami, co Nowak-Zempliński. "Restauracja takiego dworu jest od-tworzeniem przeszłości" — mówi Radek Sikorski, który odbudowuje XIX-wieczny dom w północnej Polsce. "Jest on symbolem wspaniałego okresu, do którego, po 45 latach komunizmu, chciałaby wrócić większość ludzi, w tym nawet robotnicy."



Andrzej Nowak-Zempliński przed swoim odrestaurowanym dworkiem.

nie potrzebny. Parkietowe podłogi zostały zerwane przez okolicznych chłopów, rozbito XIX-wieczne piece kallowe, z kominka w salonie zrobiono wychodek. Trzeba było aż dziesięciu lat pracy i znacznych wkładów pienię-

dokończenie na str. 25

Małgorzata Keram

Kierownictwo bez koncepcji

Walec, który po czerwcowych wyborach dotoczył się do gmachu telewizji przy ul. Woronicza, zmienił się w styropianową makietę. Zwycięska drużyna Lecha — wtedy jeszcze w jednolitych koszulkach — która wcześniej domagała się uspokojenia radia i telewizji, czyli oddania potęgi informacyjnej w "ręce ludu", gdy tylko umościła się w poselskich ławach albo wydrukowała wizytówki z tytułem "senator", jakby nabrała wody w usta. Już nikomu nie przeszkadzało to, że rząd dysponuje środkiem masowego komunikowania w sposób właściwie dowolny. Propozycje reformowania Radiokomitecu kwitowane były uwagami: "co nagle to po diabie!", oraz "pośpiech wskazany jest przy łapaniu pcheł".

Nie spieszono się nawet z wyborem prezesa. Toczyły się jakieś nicmrawe rozmowy, a to z Krzysztofem Zanusem, a to z Michałem Jagiełłą, byli tacy, co widzieli w fotelu głównodowodzącego Macieja Szumowskiego. Dopiero groźba Lecha Wałęsy, że jak się wkurzy, to sam wyznaczy prezesa (Kaczyński?) poskutkowało. Wybór padł na Andrzeja Drawicza.

Człowiek dużej miary, znacznie przekraczającej to, do czego przywykł Radiokomitet. Nowy prezes z opłatkami objechał w wigilię Bożego Narodzenia wszystkie — a jest ich mnóstwo — obiekty Radia i Telewizji, i składał życzenia pracującej załodze. To nie był ten przyjęty dotychczas dygnitarski styl. To było tak dziwne, że podejrzane. Prezes nie zrobił też czystki. Nie tylko nie wyrzucał, ale z otwartymi ramionami przyjmował wszystkich, którzy chcieli służyć w firmie ku chwale ojczyzny.

Firma — tymczasem wiruje, tak jak wirowała za dawnych, niedobrych lat, wzdłuż osi wyznaczonej biegunami biedy i bezradności. Bieda w Radiokomitecie ma kształt powiązanych sznurkiem kamer, wysiadających maszyn odtwarzających i to w montażu najmniej odpowiednim, bo podczas wieczornego "nabożeństwa" o 19.30. W radiu przybiera postać dorzniętych magnetofonów studyjnych "Telefunken" i delikatnych jak morska piana magnetofoników



»Bieda w Radiokomitecie ma kształt powiązanych sznurkiem kamer...

fol. J. M. Gołszewski



Andrzej Drawicz. "W wigilię Bożego Narodzenia prezes z opłatkami objechał wszystkie obiekty Radia i Telewizji." fot. Aleksandra Bessert

"Sony", które mogą nagrać coś stereofonicznie, ale żeby już tę stereofonię przepchnąć na antenę, trzeba stanąć na głowie. Wszędzie zaś bieda straszy brudnymi toaletami, zapachnymi szymbami, cuchnącymi bufetami, w których od lat przebojem jest zupa o smaku gotowanej ścierki. Codzienna bieda, to także zdruzony strażnik, któremu od

dawna nie chce się sprawdzać przepustek, rozkraczony pod Kostomlotami — to zarobki. W 1980 roku przeciętny radiokomitetowy żurnalista był kimś. Pensja bliska średniej krajowej i honoraria znacznie te średnią przekraczające dawały w sumie miesięczny dochód rzędu 20-25 tys. zł. Można było za to kupić dwie pralki automatyczne i jeszcze coś zostawało. Dziś stać go na jedną. Jeżeli chciałby zarobić więcej, to oczywiście może, ale odbywa się to na granicy zawalu serca. Ot, bieda.

Krytycy tych dziwacznych porządków twierdzą, że bezradność jest synonimem niekompetencji i coś w tym jest. Nie myślę o prezesie. Prezes nie musi być fachowcem. Idealny prezes to ktoś, kto firmę dobrze reprezentuje, ma swoją wizję przyszłości (byłe nie szalone!) i otacza się sprawnymi podwładnymi. Andrzej Drawicz wyraźnie wie, do czego dąży, być może nie zawsze wie jak, ale to powinni mu powiedzieć jego fachowi współpracownicy. Nie mówią, bo ich nie ma. Pierwszy zastępca prezesa i zarazem szef Radia, Józef Kowalczyk, choćby był cudotwórcą, nie stałby się prezesem do fachowcem. Kowalczyk jest dzieckiem Okrągłego Stołu. Jako rzecznik prasowy śp. ZSL dał się poznać od

najlepszej strony przy stoliku, przy którym dyskutowano o środkach masowej komunikacji. Po czerwcu, gdy doszło do podziału łupów, nie zapomniano również o nim — i tak został wiceprezesem. Uczy się radia szybko i pilnie, ale co rusz przekonuje się, że karty w większości są w innych rękach, jemu zaś pozostawiono znaczone. Tak było i jest na przykład z wyprzedzającą narodowej anteny obcym radiostacjom. Na coś takiego nie pozwalała sobie żadna, nawet najbardziej uboga radiofonia. A żeby to jeszcze była wyprzedzać, ale nie, to raczej rozdzawanie anteny na prawo i lewo. W czasach, gdy dziennikarze szukają każdej wolnej minuty na antenie, żeby zarobić parę groszy Głos Ameryki, BBC, Radio Watykan, a nawet tajemnicze Radio Kanada hulają po falach eteru od Jedyńki po Czwórkę. W zamian, od



...wysiadających maszyn odwarzających i to w momencie najmniej odpowiednim, bo podczas wieczornego "nabożeństwa" o 19.30. +
 fot. Jarosław M. Gołszewski

czasu do czasu, ktoś pojedzie na wycieczkę do Londynu lub Montrealu. Dla tamtych radiostacji jest to często problem "być albo nie być", nie więc dziwnego, że ofensywa trwa. Kowalczyk nie chciał godzić się na tak nierówne umowy, ale im głośniejszy mówił wieczorem "nie", tym większymi literami "tak" podpisywał rano dokumenty. Podobno między "nie" i "tak" dzwonił telefon, od kogo...? (Sama chciałabym wiedzieć.)

Identyfikacja było w Telewizji. Pisał o tym np. Krzysztof Teodor Toeplitz, który też nie jest bez winy, chciał bowiem wejść "w interes" z pomysłami, które przejęło kilku ewanikiów jak własne. Wszystko niby trochę udoskonalili i teraz mamy to, co mamy: szmirowatość seriali, rozmodlone twarze, ceremonie. Osoby, które z różnych względów odeszły po 13 grudnia, wracają w glorię chwały i z męczennickim wyrazem na bardzo zatroskanym obliczu. Antena wytrzymała to z coraz większym trudem. Proszę mnie źle nie zrozumieć, większość powracających to naprawdę świetni dziennikarze, których boleśnie skrzywdzono przed 8 laty, może aż tak boleśnie, że w wielu wypadkach nieodwracalnie. To nie jest dziennikarstwo gazetowe, które można uprawiać z powodzeniem w podziemnych piwnicach, to twórczość radiowa i telewizyjna, która

bez kamery lub mikrofonu umiera, wędnie. Dla wielu powrót jest trudniejszy niż start przed laty, dla niektórych powrót ten jest wręcz niemożliwy. Błąkają się po korytarzach gmachów przy ul. Woronicza i Małczewskiego, czekając na reformę, która przywróci ich firmie, która może firmę odda właśnie im.

Reforma jest jednak tak samo odległa jak nasz dobrobyt. Co prawda nie-

jest w tym momencie, komu to będzie podporządkowane, parlamentowi czy rządowi. Trzeba stworzyć sprawnie funkcjonujący mechanizm, który ktoś potem przygarnie. Tylko trzeba się wreszcie na coś zdecydować. Na przykład na rozdzielenie Radia i Telewizji, albo na wprowadzenie nowych zasad zatrudnienia dziennikarzy. Trzeba się i policzyć, czy przypadkiem system

kontraktowy (taki jaki mają aktorzy w teatrach) nie byłby efektywniejszy. Trzeba policzyć, czy stać nas na trzy programy telewizyjne, z których jeden nie ma swego pasma i "waletuje" w Dwójce. Czy nie za drogo nas kosztuje pięć programów radiowych i szósty dla zagranicy. To nie pomyłka, ostatnia reorganizacja działalności rozgłośni regionalnych była w zasadzie wprowadzeniem piętego programu. Nadal

długo minie rok, od powołania specjalnej komórki, mającej przygotować rewolucję w Radiokomitecie, ale gdy przyszedł co do czego, nową strukturę Radia przygotował człowiek z zewnątrz, który o radiu wie tyle, że można je włączyć i wyłączyć. Efektem jego mrowczej pracy było zaproponowanie dwóch nowych stanowisk dyrektorskich. W schemat z trudem wciśnięto jeszcze programy radiowe, bo dziś jedyne prawo, jakiemu firma wydaje się podlegać, to prawo Parkinsona. Biura, dyrektorzy do spraw..., sekretariaty programowo-koordynacyjne, konsultanci i agenci świetnie sobie dają radę sami ze sobą i nie jest wykluczone, że papierki wdrożony byłoby z biurka na biurko sprawdzania i szybciej, gdyby zaprzestać nadawania audycji. Na razie jednak wszystko się kręci, choć raz po raz ktoś rzucza śmiały myśl, żeby tu wpuścić kapitał, niech nam zbuduje sieć telewizyjną i radiową z prawdziwego zdarzenia, a my w zamian pozwolimy mu nadawać, co sobie będzie chciał. Potem jednak pada pytanie: No dobrze, ale kto to ma być? Odpowiedzi nie ma. A decyzje powinny zapisać już — o ironio — właściwie obojętnie jakie, byleby były.

Nie ma rozwiązań idealnych, jedne są lepsze, drugie gorsze, ale brak ich jest lekkomyślnością. Zupelnie nicistotne

bowiem mamy jeden program na falach długich, trzy na UKF i teraz jeden ekstra tylko na średnich. W Warszawie dodatkowo gra Radio Solidarność, które dużo Radiokomiteci jedną akcją za milion i korzysta ze wszystkich dobrodziejstw bycia Radiokomitetem. Milion złotych to byle cinkciarz daje dziecku jako kieszonkowe. Jedyń sensowny projekt o jakim slyszalam, powstał poza firmą, a jego autorem jest ponoć Waldemar Kuczyński. Oto ten plan: pozostawić rządowi pierwszy program Radia i Telewizji, Dwójkę TV i III program radiowy skomercjalizować, a pozostałe dwa programy radiowe oddać ministerstwu kultury i oświaty. Program dla zagranicy zaś zamknąć. Mami nadzieję, że to nie tylko plotka, i że Kuczyńskiego stać będzie na realizację tej koncepcji.

Jeśli nie tej, to jakkolwiek innej, było równie prostej i klarownej. Być może właśnie prostoty i klarowności brakuje dziś Komitetowi do spraw Radia i Telewizji najbardziej. Bo chwycie się on w sposób zauważalny — a to wcale nie objaw słabości, to raczej choroba sieroca.

Małgorzata Keram

Tytuł pochodzi od redakcji.

Romuald Szeremietiew

Efekty planu Balcerowicza

W gospodarce rynkowej ograniczone bezrobocie jest objawem normalnym i zdrowym. W każdym społeczeństwie są przecież ludzie, którzy z różnych powodów nie podejmują pracy. Czasowo mogą pozostawać bez pracy poszukujący odpowiadającego im zajęcia (bezrobocie frykcyjne) i tacy, którzy z powodów od nich niezależnych, np. zdrowotnych, nie mogą pracować. Ale istnieje także inne bezrobocie, mające wszelkie objawy schorzenia atakującego społeczeństwo, niebezpieczne dla interesów państwa. Takim bezrobociem było to znane z czasów wielkiego kryzysu i krachu na giełdzie nowojorskiej w 1929 roku. Masy bezrobotnych, pozbawionych szansy zatrudnienia, stały się społecznym zapleczem totalitarnych ruchów politycznych. To wśród bezrobotnych szukali zwolenników komuniści i naziści. To masy niemieckich bezrobotnych stanowiły główną siłę hitlerowskich bojówek SA i wyniosły Hitlera do władzy. Nie ma w tym niczego dziwnego. Ludzie postawieni w sytuacji skrajnie łatwo ulegają namowom różnych demagogów.

Przypominam o tym w kontekście tzw. programu wicepremiera Leszka Balcerowicza, bowiem wszystko wskazuje na to, że efektem jego realizacji będzie choroba bezrobocia, a nie zdrowie i naturalne funkcjonujące gospodarki wolnorynkowej. Obok tego minister Jacek Kuroń, odpowiedzialny za resort pracy i polityki społecznej, wyraźnie lekceważy to zagrożenie. Ten sam Kuroń na kwietniowym Zjeździe NSZZ "S" w Gdańsku beztrząsco oświadczył, że jego ministerstwo "nie ma żadnego programu polityki społecznej". A to oznacza, iż rząd premiera Tadeusza Mazowieckiego, poza niejasnymi zamiarami jakiejś akcji charytatywnej (kuronowski konto SOS), nie ma niczego dla przeciwwstawienia się zalającej Polskę fali bezrobocia.

Powstaje jednak pytanie, czy obawy są uzasadnione? Czy nie jest to przypadkiem narzekanie malkontenta-opozycjonisty, szukającego dziury w całym? Słyszałem, jak zwolennicy obecnego rządu mówili: cóż to jest owe 270 tys. bezro-

botnych w masie wielu milionów zatrudnionych.

Jak wiadomo, plan wicepremiera Balcerowicza zakłada powrót do normalności gospodarczej drogą duszenia importu, ograniczania konsumpcji i przez stagnację płac. Przyjęto, zgodnie z sugestiami z Zachodu, że to nadmierna ilość pieniędzy w rękach społeczeństwa jest źródłem inflacji i dlatego zwalczając inflację należy ludziom te pieniądze zabrać. Po pierwszym kwartale rząd osiągnął zahamowanie (nie likwidację) inflacji, stabilizację kursu walut zachodnich, poprawę bilansu budżetu centralnego. Ale obok tego wystąpiły zjawiska wskazujące na silne "zagrożenia dla stabilizacji" i "brak jest przesłanek, które wskazywałyby na możliwość samoczynnej zmiany tych tendencji w ciągu najbliższych 2-3 miesięcy" ("Synteza sytuacji gospodarczej za 4 miesiące", opracowanie rządowe). Nastąpił silny spadek dochodu narodowego do podziła. Według bardzo ostrożnej i optymistycznej, bo zakładającej wzrost produkcji począwszy od połowy br., prognozy rządowej, dechód narodowy w 1990 roku spadnie o 22%, a spóżyte nawet o 25%. Ta prognoza jest nazbyt optymistyczna — spadek na pew-

no będzie znacznie większy. Jak pamiętamy, wcześniej zakładano spadek produkcji w granicach 5% i wzrost cen o 45%. Tymczasem spadek ten w kwietniu br. sięgnął 28,5% (nicoficjalnie mówi się o recesji w granicach 39%), a ceny wzrosły co najmniej o 100% — ceny w kwietniu 1990 r. były 13 razy wyższe niż przed rokiem. Zachodni eksperci oceniają, że w skali całego roku jest możliwy spadek produkcji do 50% i wzrost bezrobocia nawet do 4,5 mln osób. Ponadto pojawiła się groźba powrotu inflacji i to w warunkach stagnacji gospodarczej.

Na tym leżącym w rzeczywistości niepokojącym wyglądzie sprawa bezrobocia. Jak wiadomo w latach 1980-1989 prowadzono w Polsce świadomą politykę zmniejszania zatrudnienia i zniechęcano ludzi do podejmowania pracy w sektorze państwowym. Przyrost ludności w wieku produkcyjnym wyniósł około 800 tys. osób, a w tym czasie liczba pracujących w gospodarce narodowej zmniejszyła się o 200 tys., liczba emerytów i rencistów wzrosła o 53% (6.928 tys. w styczniu 1990 r.), 830 tys. Polaków udało się na emigrację. To tym zjawiskom zawdzięczaliśmy brak bezrobocia w 1989 roku i przewagę ofert pracy nad liczbą ludzi jej



Wicepremier Leszek Balcerowicz. "W programie Balcerowicza nie ma żadnych czynników aktywizujących produkcję"

fol. Aleksandra Bessert

Życie parafialne

Agnieszka Kulicka

Z prośbą do księdza proboszcza

Anna i Marek P. postanowili ochrzcić syna. Kiedy ksiądz warszawskiej parafii usłyszał, że nie mają ślubu kościelnego, zaczął krzyknąć: "Zależy wam tylko na tym, żeby zorganizować przyjęcie, zaprosić gości, a wasze dziecko nie was nie obchodzi! Ono nie ma szans na to, by wychowywać się w rodzinie katolickiej. I właśnie w trosce o dobro tego dziecka — odmawiam udzielenia sakramentu!"

Kościół pragnie wpływać na kształtowanie obyczajów, sumień, na wychowanie młodzieży. Ale przykład ten świadczy jednak o tym, że już noworodki dzieli się na lepsze i gorsze. Często rodzice, którzy nie wzięli ślubu kościelnego, chcą dać swojemu dziecku "możli-

żają ślub kościelny. Nowe prawo kanoniczne nie traktuje już tej sprawy tak rygorystycznie. Ksiądz Prymas twierdzi, że chrztu można udzielić i bez ślubu kościelnego, jeśli matka i ojciec zadeklarują odpowiednie wychowanie. Ja osobiście uważam, że nie muszą to być rodzice, wystarczy babcia lub ciotka, ktokolwiek, kto podejmie się takiej roli. Musimy chrzcić nasze dzieci, w przeciwnym razie może dojść do sytuacji, jaka istnieje w NRD. Właśnie rozmawiałam z tamtejszym biskupem: u nich ochrzczonych jest 5% ludności."

Rozmowa pierwsza, z księdzem

— *Chciałabym ochrzcić dziecko, ale nie mamy ślubu kościelnego... Mąż nie jest ochrzczony.*

Ksiądz biskup Zbigniew Kraszewski: "Ksiądz nie może namawiać do ustanowienia małżeństwa, bo to jest zmuszanie do ślubu. Ustanowienie ma takie same skutki jak uroczysty ślub w kościele, powinno więc być wynikiem autonomicznej woli obojga małżonków."

Rozmowa druga, spowiedź przed ślubem:

— *Ostatni raz byłem u spowiedzi... no, proszę księdza, chyba w szkole...*

— *I co, dopiero teraz przychodzisz?! To zastanów się, po co ci ten ślub! A może wyobraźasz sobie, że ty jesteś wierzący niepraktykujący? Nie ma czegoś takiego. Albo jesteś katolikiem i chodzisz do kościoła, albo nie jesteś i wystarzy ci cywilny akt małżeństwa.*

Ksiądz biskup Zbigniew Kraszewski: "Przed wojną w każdym urzędowym dokumencie znajdowała się rubryka: wyznanie. I wielu ludzi pisało: wierzący niepraktykujący, to był normalny termin. Podobnie jak istnieją muzułmanie, którzy nie chodzą do meczetu, żydzi nie modlą się w bożnicy, tak wielu katolików nie uczestniczy w Mszy Świętej. Niektórzy księża, zwłaszcza młodzi, nie przyjmują tego do wiadomości. Ale niestety takie jest życie i nie na to nie poradzimy. Są miliony wierzących niepraktykujących."

Wielu z nich właśnie przy okazji ślubu, chrztu czy pogrzebu ma — często pierwszy od wielu lat — kontakt z Kościołem. Jak twierdzą, jest to kontakt nie zawsze przyjemny. Traktowani są bowiem chłodno, czasem wręcz z wrogością. Najczęściej takie sytuacje zdarzają się w parafiach wielkomicjskich.

Można zadać pytanie, po co im ten ślub? Często rzeczywiście tylko po to, by nadać zawarciu małżeństwa bardziej uroczystą formę. Czasem dlatego, aby zrobić przyjemność ukochanej babci. Bywa, że rodzice chrzczą swoje dziecko (a przy okazji zawierają "zaległy" ślub), by później nie czuło się ono inne, nie pytało, dlaczego pozostali dzieci chodzą



wość wyboru". Łączy się z tym i przywiązanie do tradycji, i to, że w każdej rodzinie jest zwykle osoba, której na tym zależy.

Ksiądz biskup Zbigniew Kraszewski, Kuria Metropolitalna: "Z punktu widzenia dogmatycznego, zgodnie z zasadami prawdy wiary, księża mają rację. Chcą mieć gwarancję ze strony rodziny, że dziecko będzie wychowywane po chrześcijańsku, a za taką gwarancję uwa-

— *Alte czasem już człowiek dorosły pragnie się zwrócić do Boga...*

— *Może nie chce.*

— *Mimo wszystko mogą państwo wziąć ślub kościelny, udziela się wówczas dyspensy od ateizmu... albo po prostu zwrócić się do Kurii o ustanowienie małżeństwa. To jest forma "zaoicznego ślubu". Ja dziecku udzielił chrztu, ale byłoby dobrze, gdyby jednak miał katolicką rodzinę...*

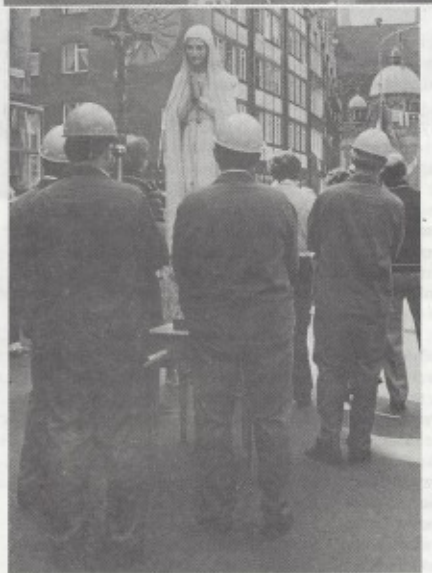
na religię, a ono nie. Czy jest w tym dwulicowość? Z pewnością tak, ale wynika ona stąd, że stereotyp: Polak równa się – katolik, jest u nas niezwykle silnie zakorzeniony. Chodzenia do kościoła nie traktuje się wyłącznie w kategoriach świadomego wyboru, często jest to rytuał, obyczaj, czasem nawyk. Nawet rodziny ateistyczne przed świętami Bożego Narodzenia zaopatrują się w opłatki, a przed Wielkanocą w palemkę. "To nie jest symbol wiary, ale tradycja" – mówią.

Na wsi i w małych miasteczkach prawie wszyscy chodzą do kościoła. Być może niektórzy tylko dlatego, aby nie patrzono na nich złym okiem. Zresztą, w tych środowiskach panuje większy "reżim". Zdarzają się przypadki piętnowania z ambony – z wymienianiem nazwiska – niesubordynowanych parafian. We Włochach pod Warszawą kilka lat temu oznajmiano podczas mszy, kto ile dał na budowę kościoła. W Dębicy w woj. tarnowskim podczas niedzielnej mszy wyznaczało się; jutro przy budowie kościoła pracują mieszkańcy ulicy takiej to a takiej, lokale od 1 do 45. To w celu uniknięcia bałaganu – powie ktoś. Dobrze, ale dlaczego leżała jeszcze do podpisania lista obecności?

Opłaty za udzielanie ślubu czy chrztu kształtują się – teoretycznie – według zasady "co łaska". Niezorientowanym księża często ułatwiają zadanie: "Co łaska, a inni zwykle dają..." sto, dwieście tysięcy, w zależności od regionu i parafii.

Księża nie muszą się u nas starać o pozyskiwanie parafian. Nie muszą czynić wysiłków, żeby zdobyć autorytet na swoim terenie. Autorytet jest im "dany", wynika z piastowanej funkcji. Kościoła nikt nie śmie krytykować, nawet łagodnie, ponieważ natychmiast zostaje posądzony o szarganie świętości. Taki stan rzeczy powoduje pewne rozleniwienie. W sytuacji, gdy "nie trzeba starać się o klienta", można "dyktować warunki".

Ksiądz J.S., przebywający od lat za granicą: "Polscy księża są trochę, przepraszam za wyrażenie, »rozbestwienieni«. Na przykład w Szwajcarii, gdzie Kościół katolicki utrzymuje się także z datków parafian, staramy się zabiegać o każdego, to jest niedopuszczalne, by ksiądz podniósł głos lub nawet zachował się niezbyt grzecznie. Jeśli ktoś u nas chce ochrzcić dziecko, to je chrzczymy w kościele, w domu, wedle życzenia. Jeśli chce się wypowiedzieć, to wybiera: konfesyjnal lub rozmowę w pokoju w cztery oczy. Jeśli bierze ślub, przychodzimy we wskazane miejsce do kościoła lub gdziekolwiek indziej. To my jesteśmy dla pa-



rafian, a nie odwrotnie. Z radością witamy każdego, choćby przez całe lata był zatwardziałym grzesznikiem."

Kościół w Polsce przez całe lata deklarował obojętność wobec polityki. Od roku jednak możemy obserwować, jak wiele zależy od opinii głoszonej z ambony. Jan Józef Lipski, człowiek powszechnie znany i szanowany, starając

się w Radomiu o fotel senatorski, przeszedł dopiero w drugiej turze głosowania, gdyż Kościół nie zaaprobował jego kandydatury. Na Opolszczyźnie, w wyborach uzupełniających do Senatu, Dorota Simonides pokonała Henryka Króla dzięki poparci, jakiego udzielił jej księża w tym okręgu. W wielu parafiach podczas ubiegłorocznych czerwcowych wyborów działały punkty konsultacyjne.

Swoją pozycję, autorytet w Polsce Kościół zawdzięcza w dużej mierze temu, że od XVIII w. był symbolem walki niepodległościowej, ostoją konspiracji. Nie ugiął się pod najazdem hitlerowskim, nie włączył się do budowy komunizmu. Jego roli w czasie stanu wojennego nie sposób przecenić.

Marek N.: "Zostałem zatrzymany przez ZOMO na Starym Mieście i przewieziony do aresztu. Kara, którą wówczas wymierzało kolegium, wynosiła 20 tysięcy złotych i to była spora suma. Jeśli ktoś miał ją przy sobie, wpłacił i wychodził na wolność, pozostającym zamieniano grzywnę na areszt. Zrobiliśmy w siedmiu »zrzutkę« – wyszedłem i udąkam się do księdza. Powiedziałem: tam jest jeszcze sześćciu kolegów, to razem 120 tysięcy. Bez żadnych pytań, natychmiast dostałem te pieniądze. Natomiast moja koleżanka poszła do tej samej parafii z prośbą o odczytanie dla dziecka. Kazano jej pokazać świadectwo chrztu córki. Znam księży wspaniałych i mniej doskonalych. Wszystko zależy od człowieka, wszędzie są lepsi i gorsi. Podobnie w środowiskach nauczycieli, lekarzy, artystów, polityków, dziennikarzy. Normalna sprawa, tylko dlaczego, jeśli dotyczy Kościoła, tak trudno o niej mówić głośno?"

Agnieszka Kulicka

Zdjęcia Jarosław M. Goliszewski

»Kolaborant« ministrem

Rozmowa z Ewarystem Waligórskim, ministrem komunikacji i gospodarki wodnej

— Ma Pan życiorys bardzo typowy dla obecnej ekipy rządzącej: udział w strajkach, zakładanie "Solidarności", procesy, internowanie. W sierpniu uroczystość obchodzona X rocznicę powstania "Solidarności". Czy dla Pana było to także święto?

— Oczywiście. 17 grudnia i 30 sierpnia — w Szczecinie porozumienia sierpniowe podpisano dzień wcześniej niż w Gdańsku — zawsze, od lat, byłem o godzinie 12.00 pod bramą stoczni a o 18.00 na mszy w katedrze. W tym roku także.

— Po raz pierwszy był Pan tam jako minister i przedstawiciel władzy. Czy coś jeszcze się zmieniło?

— Przed bramą stoczni był straszny tłok. Nie mogłem się nawet przywitać z biskupem Majdańskim, zrobiłem to dopiero w katedrze. Trzy, cztery lata temu nie było tylu ludzi. Były też czasy, kiedy palców rąk było za dużo, by policzyć u mnie na koleci chętnych do przejścia przez szpaler UB i złożenia kwiatów pod bramą stoczni. Mszę w katedrze, jak zawsze, odprawił biskup ordynariusz Majdański. Trudno w to uwierzyć, ale przez te lata ani 17 grudnia, ani 30 sierpnia nigdy nie mu pilniejszego nie wypadło, niż msza dla nas.

— Czy powstanie "Solidarności" było dla Pana rzeczywiście przełomem?

— W pewnym stopniu tak, ale ja nie obudzilem się dopiero w sierpniu. Wiele zawiązywałem szkole średniej. Urodziłem się w Pobiedziskach, które leżą w połowie drogi między dwiema katedrami, jedną w Poznaniu, drugą w Gnieźnie. I ukończyłem liceum Sacre Coeur, prowadzone przez siostry zakonne. Były to lata stalinowskie, a w tej szkole nie działało ZMP, była za to religia i krzyż na ścianie. Istniały chyba dwie takie szkoły i władze mogły spokojnie mówić, że są szkoły zakonne w Polsce, i to niejedna. Oczywiście, po takim liceum nielawno było się dostać na studia, w Poznaniu nie przyjęto mnie "z powodu braku miejsc". Włęcząc szczęścia miałem w Szczecinie, gdzie dostałem się na nowo utworzony wy-

dział inżyniersko-ekonomiczny transportu drogowego. Na studiach byłem związany z duszpasterstwem akademickim. Kiedy już pracowałem w szczecińskiej DOKP, zajmowałem się trochę turystyką, a potem zakładaniem w Szczecinie Klubu Inteligencji Katolickiej. W roku 1976 zdecydowanie odmówiłem pójścia na stadion "Pogoni", by potępić warchołów. Szczecińska opozycja koncentrowała się wokół kościoła jezuitów. To było gniazdo os.

— Z kim Pan wówczas współpracował?

— Przede wszystkim z Michałem Zybter-Platerem. W jego domu odbywały się prelekcje, wykłady, spotkania. Tam poznałem prof. Chrzanowskiego, Kłoczowskiego, braci Ceumów. W 1978 r. zwolniono Zybter-Platera za to że stanowiska naczelnika lokomotywni. Stanąłem w jego obronie. Zagrożono mi: poczekaj, przyjdzie i na ciebie kolej. Zwolniono mnie rok później, zarzucając m.in., że 2 czerwca organizowałem w pracy pielgrzymkę do Gniezna na przyjazd papieża. Ze stanowiska naczelnika Zarządu Wagonów przeniesiono mnie na urzędniczy stołek w Biurze Ekonomicznym. Na tym stanowisku zastał mnie sierpień '80. Razem z Zybter-Platerem organizowaliśmy potem "S" na koleci. Dziś szczeciński Klub Katolicki nosi jego imię, umarł na zawał w lutym 1980, do dziś mam wyrzuty, że pozwalaliśmy mu tak dużo pracować, że nie odciążyliśmy.

— Należał Pan do szczecińskiej ekstremy?

— Skądże! Z natury jestem człowiekiem raczej ugodowym i skłonny do kompromisów. Słyszałem nawet, że



Ewaryst Waligórski (l. 53), żonaty, 2 synów, 1 córka, absolwent Politechniki Szczecińskiej, od 1961 pracownik PKP, ostatnio starszy specjalista w zarządzie Wagonów Pomorskiej DOKP, w 1980 członek Prezydium Zarządu Regionu Pomorza Zachodniego NSZZ "Solidarność", w 1985 przewodniczący krajowej sekcji kolejarzy NSZZ "Solidarność", w grudniu ub.r. mianowany podsekretarzem stanu w Ministerstwie Transportu i Gospodarki Morskiej, od lipca br. minister tego resortu.

jestem kolaborantem, bo rozmawiam z komuną.

— Ale mimo to został Pan internowany?

— Dopiero 5 maja, po pochodzie 1+ i 3-majowym. 13 grudnia internowano tych, co grzecznie spali we własnych łóżkach. Ja akurat tej nocy nie nocowałem w domu, więc najajutrz poszedłem do stoczni organizować strajk. We wtorek weszły do stoczni czołgi, a organizatorów strajku postawiono przed doraźnym sądem wojsko-

wym w Bydgoszczy. Dla Andrzeja Milczanowskiego, który dziś jest szefem Urzędu Ochrony Państwa, prokurator żądał 11 lat więzienia, dla Mieczysława Ustasiaka, obecnego senatora, 9 lat, dla mnie 5. Bronili nas mecenas Siła-Nowicki i Andrzejewski z Warszawy, Czumura i Łyżczyk ze Szczecina. Na każdej rozprawie był biskup Stanisław Stefanek, a na ostatnią przyjechał nawet prymas Glemp. Pamiętam, że przywitał się z zomowcami, a ci bez chwili wahania rucnęli przed nim na kolana. Jeden z nich kiedyś mnie zapytał dlaczego chcieliście zamordować nasze dzieci? Okazało się, że wielu z nich kazano wywieźć i ukryć gdzieś dzieci, ostrzegając, że znajdują się na jakiejś czarnej liście "Solidarności". Milczanowskiego

skazano na 5 lat, Ustasiaka na 4, mnie uniewinniono. Do maja cieszyłem się wolnością, następne miesiące, aż do grudnia, spędziłem w "internacie" w Wierchowiu i w Strzebielinku.

— Jak Pańska rodzina na to wszystko reagowała?

— W rodzinie miałem pełne poparcie. Moja żona nigdy mi nie powiedziała — po co idziesz do stożni? Niech inni idą, ty zostań w domu. Kiedy mnie zamknięto, żona uspokajała mnie, że świetnie radzą sobie beze mnie. Te wszystkie wydarzenia bardzo scementowały naszą rodzinę, a dla dzieci była to dobra lekcja patriotyzmu, szkoła charakteru. Kiedy do szkoły przyszedł prokurator i oświadczył dzieciom, że solidarnościowcy chcieli

ich wymordować, to moja 12-letnia córka wstała, powiedziała, że to nieprawda i wyszła z klasy. Poparla ją zresztą córka milicjanta.

— A jak rodzina zareagowała na Pańską ministerialną nominację?

— Z niedowierzaniem. Żona pracuje w Akademii Rolniczej, lubi swoją pracę i ani chciała słyszeć o przeprowadce, prorokując: "i tak cię stamtąd szybko wykopią". Mieszkam więc w Warszawie sam, w pokoju gościnnym przy ministerstwie. Nie mam żonie tego za złe, ja też jestem przywiązany do Szczecina i z przyjemnością do tego miasta wrócę.

Rozmawiała: Ewa Kacprzycka

* PRZEGLĄD PRASY * PRZEGLĄD PRASY * PRZEGLĄD PRASY *

MERCEDES W POLSCE

Jak donosi zachodniobrzeński lewicowo-liberalny dziennik TAGESSPIEGEL z dnia 31.07, zachodniemiecki koncern samochodowy Mercedes-Benz podpisał umowę z Polską i Węgrami, dotyczącą utworzenia przedstawicielstw koncernów w tych państwach. Generalnym przedstawicielem Mercedesa w Polsce będzie znany były kierowca rajdowy Sobiesław Zasada, a w Rumunii Ion Tiriac, menadżer zachodniemieckiego toniśty, Borisa Beckera. Przewiduje się utworzenie sieci sprzedaży samochodów i części zamiennych oraz odpowiedni serwis.

J. KACZYŃSKI O MAZOWIECKIM

Prawicowy dziennik francuski LE FIGARO z 3 VIII publikuje wywiad z senatorem Jarosławem Kaczyńskim: "To prawda — mówi Kaczyński — że obecnie Jaruzelskiego czyni nasze plany trudnymi do zrealizowania. Musimy znaleźć sposób, aby rozwiązać parlament, ale jeśli Jaruzelski przedłoży współpracę z Mazowieckim nad współdziałanie z nami, będzie go to drogo kosztowało. Straci całą szansę na opuszczenie sceny politycznej z godnością. Trzeba, by teraz podjął decyzję. Jeśli nie, coraz trudniej będzie mu znaleźć wyjście honorowe".

Na pytanie: "Sondaze mówią, że Mazowiecki pobili Wałęsę w powszechnych wyborach prezydenckich" — Kaczyński odpowiada: "Komuniści też wierzili w sondaze. Instytuty sondazowe są to same, co przed laty; zachowały się pod nie zmienionym kierownictwem".

Zarzut: "Pana przeciwnicy mówią, że

doprowadzi pan do destabilizacji Polski swoim rozkazem przyspieszenia". Kaczyński odpowiada: "To jest główny przedmiot sporu. Niebezpieczeństwo destabilizacji istnieje, ale może być rezultatem realiów społecznych, a nie konfliktu w kręgu establishmentu politycznego Warszawy. Problem polega na tym, w jaki sposób możemy zapobiec destabilizacji."

LE PEN I "PAMIĄT"

LIBERATION (3 VIII) drukuje fragmenty wywiadu udzielonego przez Jean Marie Le Pena, po raz pierwszy dla prasy sowieckiej — KOMSOMOLSKIEJ PRAWDZIE. Lider francuskiego Frontu Narodowego zaprzeczył chęć zaoferowania kontaktów z ruchem nacjonalistycznym "Pamięt", zapytany, czy chciałby zostać francuskim członkiem "Pamięt", odpowiadał: "Znam mało tę organizację, ale ponieważ w Europie jest uważana za antysemicka, mogłoby mi to zaszkodzić". Na pytanie, co sądzi o emigracji z Europy Wschodniej do Zachodniej, odparł: "Oczywiście. Posłanie się Europejczykami i mamy z nimi więcej wspólnego niż z emigrantami afrykańskimi. Ale na naszym miejscu nie zachęcałbym nikogo do opuszczenia Rosji. Można być szczęśliwym tylko na swojej rodzinnej ziemi".

TRYBUN Z GDAŃSKA NIE JEST DEMOKRATA

L'EVENEMENT DU JEUDI (5-11 VII) zamieszcza artykuł pt. "Zeście z kursu Wałęsa Piętaszowa, króla Polski".

Najważniejsza jest walka o fotel prezydenta. Czy klasyczny konflikt ambicji po-



L. Wałęsa

fol. A. Bessier

jawili się wśród sprawujących władzę? Bez wątpliwości. Ale w tej srocinie świata jest to walka bardzo pouczająca, o decydującą stawkę. Człowiek, który ucieleśniał wszystkie aspiracje Polaków do demokracji nie ukrywa, że sam nie zawsze jest demokratą. Dawni doradcy Wałęsy: Geremek, Kuroń, Michnik, Mazowiecki mają jedną cechę wspólną: nie przestali odnosić się z ograniczonym zaufaniem do wysokiej hierarchii kościelnej, która z kolei ma duże wpływy w szeregach skrajnej prawicy. Kościół zawsze patrzył złym okiem na narastające znaczenie "Solidarności", postrzegając ją jako konkurenta nie podlegającego kontroli, robiącego wyłom w monopolu opozycji, który Kościół zachowywał przez dziesięciolecia.

Od roku sytuacja wygląda tak: Mazowiecki jest premierem, Geremek szefem OKP, Kuroń ministrem, Michnik redaktorem naczelnym dziennika "Solidarności", centrum władzy jest w Warszawie, a Wałęsa został w Gdańsku. Port na Bałtyku to nie Colomby. Problem polega na tym, że Wałęsa chce za wszelką cenę zachować przy sobie tłum, na których poparcie liczy. Z drugiej strony trybun z Gdańska wie, że polski tłum poturkuje z niezadowolona i chce ustawić się raczej obok tłumy. ■

Cezary Stolarczyk

Kongresmeni przyrośnięci do foteli

Rozpoczęta przed rokiem odbudowa polskiego systemu parlamentarnego i demokratyczne zmiany ustrojowe nie byłyby możliwe bez korzystania z doświadczeń innych, opierania się na sprawdzonych wzorcach. Do takowych należą parlamenty krajów zachodnich ze szczególnym uwzględnieniem Stanów Zjednoczonych, uważanych — w powszechnym przekonaniu — za model państwa, w którym mechanizmy demokratyczne funkcjonują najlepiej. W ciągu dziesięcioleci pod rządami ekipy komunistycznej podnosił nas na duchu — obok przywiązania do Kościoła Rzymsko-Katolickiego — mit Stanów Zjednoczonych: silnych, wolnych, szlachetnych, przyjaznych Polakom, będących przeciwagą komunizmu. Ta tendencja do apoteozowania wszelkich aspektów rzeczywistości USA nie została przezwyknięta, a większość nadziei na lepszą przyszłość kraju związana jest właśnie z wsparciem i poparciem ze strony Stanów. Ponieważ potępienie i opluskwanie tego kraju było domeną oficjalnej propagandy przez cały okres egzystencji PRL, ciągle jeszcze, mimo zmienionej dziś sytuacji politycznej i wolności słowa, inne niezbyt pochlebne opinie a nawet obiektywne informacje ukazujące ciemniejsze strony tego kraju, wywołują podejrzliwość, niechęć, skrajzenia z tak jeszcze nieodległą przeszłością haniebną propagandę stanu wojennego.

Nie są to odruchy korzystne, bo uniemożliwiają poznanie pełnej prawdy, ujęcie kompletnego obrazu USA z tak typowymi dla tego kraju kontrastowo rozmieszczonymi blaskami i cieniami. Kierując się intencją poszerzenia pola widzenia i postrzeżenia Ameryki z polskiej perspektywy, nadania wizerunkowi cechy wielobarwności, przedstawiam kilka uwag dotyczących funkcjonowania i praw rządzących Kongresem USA. Jakkolwiek przytaczane tu dane trudno znaleźć w oficjalnych opracowaniach, wydawnictwach encyklopedycznych czy broszurach ambasady USA, są to sprawy, o których Amerykanie mówią głoś-

no, otwarcie, bez żadnego skrępowania.

W ubiegłym roku fundacja The Heritage Foundation przeprowadziła wśród Amerykanów sondaż, pytając ich jak oceniają pracę swego parlamentu. 11% ankietowanych stwierdziło, że Kongres USA we właściwy sposób reprezentuje społeczeństwo w procesie sprawowania władzy, 80% było przeciwnego zdania. Są to dane szokujące, jeśli wziąć pod uwagę, że w USA od zarania państwowości organizowane są całkowicie wolne i demokratyczne wybory. Mysląc logicznie, naturalną konsekwencją tego jest wybieranie do Senatu i Izby Reprezentantów tylko tych z kandydatów, którzy

dzięki swej wiedzy, uczciwości, nieposzlakowanemu charakterowi i innym walorom potrafili zdobyć zaufanie wyborców. Praktyka polityczna dwu ostatnich dekad XX wieku różni się od tego modelu dość istotnie. W ostatnich wyborach w 1988 r. aż 99% kongresmenów z Izby Reprezentantów zostało wybranych ponownie. W Senacie reelekcje osiągnęły pułap 86%. Tygodnik "Newsweek" ironicznie napomykał, że jest to wynik wyższy niż w wyborach do Rady Najwyższej za czasów Breżniewa. Intrzygująca rozbieżność danych: 11% usatysfakcjonowanych pracą Kongresu i prawie pełna reelekcja przestaje dziwić, gdy



pozna się niektóre reguły gry wyborczej.

Kluczowym narzędziem kampanii wyborczej są tzw. Komitety Akcji Politycznej; ciała zajmujące się zbieraniem pieniędzy od pewnej kategorii wyborców i przekazywaniem ich na fundusze wyborczy kongresmenów, który obcuje zabiegać o popieranie interesów tejże grupy na forum Kongresu. Oczywiście, szanse efektywnego działania rośnie raczej zasiadający już w parlamencie kandydat na następną kadencję, niż człowiek z zewnątrz, ubiegający się dopiero o mandat, nie posiadający odpowiednich kontaktów ani rozcznienia w metodach zakulisowego funkcjonowania ciała ustawodawczego, nie obczany z interesami grup nacisku. Dlatego właśnie w ostatnich wyborach Komitety Akcji Politycznej przelały na konta urzędujących już kongresmenów 86 mln dolarów, zaś ich konkurenci dostali tylko 10 mln dol. — przeszło 8 razy mniej. Jeden z zabiegających o ponowny wybór kongresmenów otrzymał dotację większą niż wszystkie nowi rywale razem wzięci.

Co bardziej racjonalnie myślący kandydaci na członków amerykańskiego parlamentu zdają sobie sprawę z tych dysproporcji i ze swych niemiłych szans. Jeśli nie mają możliwości ich zminimalizowania przy pomocy majątku lub wpływów rodzinnych — rezygnują. Tym należy tłumaczyć zjawisko pozornie dziwne i niepojęte w kraju tak heterogennym jak USA — w 1988 roku 20% kongresmenów stanęło ponownie w szranki wyborcze bez kontrkandydatów. Nawet ci jednak, pozabawieni przeciwników, otrzymali od Komitetów Akcji Politycznej 15 mln dolarów na fundusz wyborczy!

Sytuacja podczas wyborów przed dwu laty nie jest niczym kuriozalnym: od 1966 r. procent reelekcji przy wyborach przekracza 90. Sześciu się, że w wyborach tegorocznych znów tylko 1% kandydatów z zewnątrz otrzyma przepustki na Capitol Hill, pozostałe 99% zostanie wybrane ponownie. Wielu kongresmenów spdziło w swych parlamentarnych fotelach po 20 lat. Rekordzistą jest demokratą ze stanu Missisipi, Jamie Whitten, który odsłużył 25 dwuletnich kadencji. Kontrkandydaci podczas dwu ostatnich wyborów do Kongresu wygrali tylko w 14 przypadkach, przegrywając 795 pojedynków. Dla porównania warto przytoczyć dane z czasów prezydentury Washingtona, gdy wybory przegrało 40% urzędujących kongresmenów. Jeszcze w 1948 r. nie zdołało obronić swych miejsc w parlamencie 21% kongresmenów.

Pieniądze od Komitetów Akcji Politycznej są uzupełniane przez ustano-

»Lista praw, spod których jurysdykcji wyłączył się Kongres, jest długa i zdumiewająca. Na Capitol Hill nie obowiązuje Akt Praw Obywatelskich z 1964 r., Swobody Informacji z 1966, Równych Praw w Staraniach o Pracę (1972). Kongresmeni nie są w żaden sposób związani aktem zapobiegającym dyskryminacji ze względu na wiek (1967), ani nie muszą bać się odpowiedzialności za złamanie postanowień Aktu o Bezpieczeństwie Zawodowym i Pracy; nie dotyczą ich żadne ustawowe regulacje płacowe (Akt Minimalnych Zarobków i Godzin Pracy z 1938 czy Akt Równy Zapłaty z 1963). Przed bramą Kapitolu kończy się moc prawna Aktu o Rehabilitacji i Aktu o Ochronie Sfery Prywatności.»

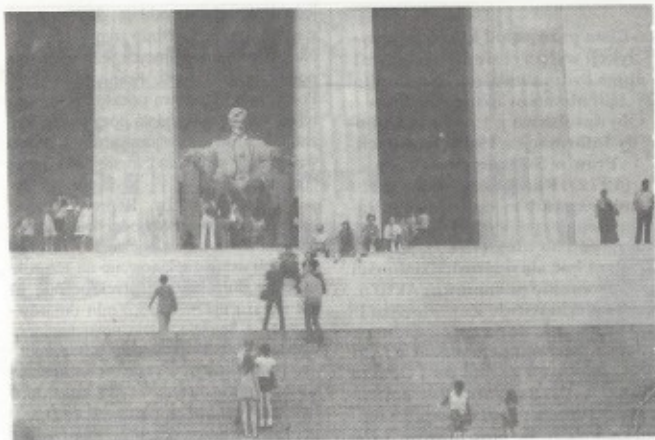
wione wolą Kongresu, w jego własnym interesie, prawa przyznające parlamentarzystom przywileje bezpłatnego korzystania z usług pocztowych i nieograniczonych, darmowych podróży. Odbywa się to na koszt podatnika i przynosi pożądaną — może niekoniecznie i nie zawsze z punktu państwa i społeczeństwa — efekty. Wyborca, mając do wyboru człowieka, którego materiały reklamowe znajdował wielokrotnie w skrynce pocztowej lub osobę prawie mu nieznaną, nie mającą pieniędzy na kampanię propagandową — wybiera tego pierwszego. Statystyki ujawniają kolejną rozbieżność opinii i czynów amerykańskich wyborców. Uważają oni, że dotychczasowy system reelekcji powinien być zmniejszony,

»Utworzyło się lobby dające do przeforsowania poprawki do konstytucji ograniczającej sprawowanie urzędu senatora czy członka Izby Reprezentantów do 12 lat. Ruch ten dąży także do redukcji darmowych przywilejów parlamentarzystów, co pozbawi ich nienależnego handicapu i poprawi szanse konkurentów. Tym samym, kongresmeni będą zmuszeni zwracać baczniejszą uwagę na głosy i wolę swych wyborców, co wyeliminuje sytuację, że niektórzy z nich od 20 lat nie zasnuli smaku prawdziwej konkurencji — w kraju gdzie konkurencyjność jest jedną z podstawowych zasad rozwoju.»

jednak nawykowo oddają głos na tego samego co poprzednio reprezentanta. Na pytanie ankietujących, czy wyborcy popierają działalność Komitetów Akcji Politycznej, darmową pocztę i podróże, tylko 9% odpowiedziało pozytywnie. Za zmianą praw sankcjonujących obecny stan rzeczy wypowiadało się 80% indagowanych.

Członkom Izby Reprezentantów bardzo trudno przychodzi ograniczyć wydatki na darmową pocztę. Koszta gratisowych usług zaplanowane na ten rok (41 mln dol.) zostaną przekroczone — jak się szacuje — o 38,2 mln dolarów. Inaczej w Senacie, gdzie postanowiono ujawnić wydatki pocztowe poszczególnych senatorów, w efekcie czego znaleźli się oni poniżej budżetowego limitu. Miaroszkol Izby Reprezentantów, Tom Foley, tłumaczy przekroczenia budżetowe twierdząc, iż kongresmeni starają się utrzymać jak najciszej więź z wyborcami. Są to tłumaczenia nieprzekonywujące, bo nie o taki typ więzi chodzi.

W swym "Duchu Praw" Montesquieu, ojciec nowoczesnego systemu parlamentarnego, stwierdza że wybrani reprezentanci muszą podlegać tym samym prawom, które stanowią dla innych. Teoria ta różąco rozmiąja się z praktyką parlamentu amerykańskiego. Lista praw, spod których jurysdykcji wyłączył się Kongres, jest długa i zdumiewająca. Na Capitol Hill nie obowiązuje Akt Praw Obywatelskich z 1964 r., Swobody Informacji z 1966, Równych Praw w Staraniach o Pracę (1972). Kongresmeni nie są w żaden sposób związani aktem zapobiegającym dyskryminacji ze względu na wiek (1967), ani nie muszą bać się odpowiedzialności za złamanie postanowień Aktu o Bezpieczeństwie Zawodowym i Pracy; nie dotyczą ich żadne ustawowe regulacje płacowe (Akt Minimalnych Zarobków i Godzin Pracy z 1938 czy Akt Równy Zapłaty z 1963). Przed bramą Kapitolu kończy się moc prawna Aktu o Rehabilitacji i Aktu o Ochronie Sfery Prywatności. Jest to tak zróżnicowane zestawienie regulacji ustawodawczych, że nie sposób doszukać się jakiegokolwiek wspólnego mianownika, a co za tym idzie logiki i podstaw wyłączenia Kongresu spod rygoru przestrzegania praw, które on sam stanowi w przekonaniu o ich słuszności i sprawiedliwości. Dlatego w Senacie i Izbie Reprezentantów nie może mieć zastosowania przepis o niedopuszczalności tajnego nagrywania i podsłuchiwania rozmów bez zgody co najmniej jednej ze stron? Jakże szkody dla pracy parlamentu oznaczałyby rozciągnięcie nań konieczności przestrzegania ustawy chroniącej prawa niepełnos-



prawnych? Nietawo na te pytania sensownie odpowiedzieć, nie więc dziwnego, że sami zainteresowani na indagacje w tej materii reagują nieprzekonywującymi wykrętami o chęci unikięcia dodatkowej biurokracji, papierkowej roboty. W ciągu dwu ostatnich kadencji prezydenckich głośnym echem po Ameryce odbijały się decyzje Kongresu, odrzucające czasem kilka razy pod rząd – kandydatów prezydenta na wysokie urzędy państwowe. Odbywało się to po policyjnym niemal dochodzeniu i badaniu przeszłości kandydata. Pretendenta na fotel sędziego Sądu Najwyższego zgubiło popalenie marihuany w uniwersyteckich czasach, innego, pragnącego uzyskać akceptację na szefa Pentagonu, pogrzyżyło to, iż był widywany w towarzystwie kobiet (był kawalerem, ale to nie zdołało go uchronić) oraz niemożność wykazania się postawą całkowitej abstynencji. W obawie przed takim upokarzającym wywlekaniem na światło dzienne czy przed kamery telewizyjne szczegółów osobistego życia zdolni ludzie rezygnują często z ubiegania się o wyższe stanowiska w rządzie federalnym. Hoklowanie nieposzlakowanej opinii i ścisłe przestrzeganie norm etycznych, prezentowane w kongresowych przesłuchaniach mogłyby być jakoś zrozumiałe, gdyby Akt o Etyce w Pracy Rządowej dotyczył też członków najwyższej władzy ustawodawczej; tak jednak nie jest. Tymczasem media co pewien czas rozsmakowują się w przytaczaniu informacji o męskodamskich i męsko-męskich erotycznych przygodach reprezentantów społeczeństwa, o notorycznym opilstwie niektórych, nieprzyzwoitości, itp. Odwołajmy się znów do wyników sondaży: na pytanie, czy Kongres powinien ustawać się

do tych samych norm etycznych, jakich oczekuje od rządu, 96% ankietowanych odpowiedziało twierdząco. "Kongres, gdyby tylko mógł, wyłączyłby się spod prawa ciężenn" – zauważył kongresmen Henry Hyde.

Kolejną dziedziną, w której stosunki między Amerykanami a ich demokratycznie wybieranymi przedstawicielami nie układają się zbyt dobrze, jest sfera płac. Na przestrzeni lat 1982-1991 członkowie Izby Reprezentantów podwoją swe zarobki. Wzrosną one z 5 tys. dol. miesięcznie do 10 tys dol. Systematyczne podwyżki uposażeń ilustruje tabelka.

Rok	Płaca	Wzrost
1982	60,662	—
1983	69,800	5%
1984	72,600	4%
1985	75,100	3%
1987	77,400	3%
1988	89,500	16%
1990	96,600	8%
1991	124,424	29%

Należy w tym momencie zaznaczyć, że od 10 lat minimalna płaca regulowana prawem federalnym (3,35 dol./godz.) nie wzrosła ani razu. Biorąc pod uwagę skutki inflacji, sytuacja materialna uboższymi Amerykanów znacznie się pogorszyła. Już to choćby tłumaczy zdecydowanie wrogi stosunek wyborców do podwyżek, jakie uchwalają dla siebie ich kongresmeni. Wielu z nich (np. połowa składu Senatu) jest już i tak milionerami.

Bezpieczeństwo i stabilność raz zajętej pozycji w fotelu kongresowym (statystyki mówią, że parlamentarzysta USA ma większe szanse umrzeć na tym sta-

nowisku niż zostać wyrugowanym przez innego kandydata), bardzo dobra pensja, uzupełniająca inne, wysokie zazwyczaj dochody z prywatnego biznesu i świadomość niemożności wejścia w kolizję z wieloma prawami, rodzą negatywne konsekwencje. Często kongresmeni nie bardzo przejmują się interesami, potrzebami i opiniami swych wyborców, zainteresowani są przede wszystkim w kontynuacji kariery zawodowego polityka, a jeśli już czyjeś postulaty spełniają lub walczą o zaśluszczenie im, to chodzi tu przede wszystkim o wypełnienie zobowiązań wobec grup nacisku. Sprzeciwianie się woli mocnych lobby przez kongresmena owocuje zwykle obcięciem potrzebnych mu do walki wyborezej funduszy, co w konsekwencji oznacza utratę mandatu. Krytycy poczynań Kongresu zarzucają mu, że nie jest w stanie poradzić sobie z problemami o kluczowym dla kraju znaczeniu, jak np. zrównoważenie bilansu handlowego, likwidacja deficytu budżetowego, natomiast jedna trzecia trafiających pod głosowanie rezolucji dotyczy spraw znużającego blaknę. Wymienia się tu ustanowienie miesięca dojnych kóz, narodowego dnia upamiętniającego stępowanie, czy narodowego tygodnia chorób układu trawiennego. Wszystkie te sprawy składają się na niezbyt prestiżowy wizerunek kongresmena. W odczuciu społecznym osoba parająca się tym szlachetnym i odpowiedzialnym zajęciem lokuje się w tabeli społecznego respektu zaraz po sprzedawcy używanych samochodów.

Trzeba jednak pamiętać, że ustrój amerykański swą stabilność i pomyślność zawdzięcza funkcjonowaniu mechanizmów samoregulujących – homeostazy. Żaden absurd nie trwa wiecznie, żaden przechyl nie przekracza pewnej granicy. W pewnym momencie następuje kontrakcja i sytuacje anormalne są stopniowo anulowane. Mechanizm ten zadziałał też w przypadku opisywanych wyżej patologii funkcjonowania parlamentu. Utworzyło się lobby dążące do przeforsowania poprawki do konstytucji ograniczającej sprawowanie urzędu senatora czy członka Izby Reprezentantów do 12 lat. Ruch ten dąży także do redukcji darmowych przywilejów parlamentarzystów, co pozbawi ich nienależnego handicapu i poprawi szanse konkurentów. Tym samym, kongresmeni będą zmuszeni zwracać baczniejszą uwagę na głosy i wolę swych wyborców, co wyeliminuje sytuacje, że niektórzy z nich od 20 lat nie zaszli smaku prawdziwej konkurencji – w kraju gdzie konkurencyjność jest jedną z podstawowych zasad rozwoju.

Cezary Stołarczyk

Niestety w okresie komunistycznych rządów nastąpił zanik większości koniecznych restauratorskich umiejętności. Nowak-Zemplínski, zanim rozpoczął prace restauratorskie, przeprowadził studia architekteryjnego tego okresu. Następnie, jako samouk, nauczył się kładzenia gipsowych fryzów, tak charakterystycznych dla jego domu. "Dopiero potem podjąłem się przekazania tej umiejętności miejscowym rzemieślnikom" – mówi. Za konieczne, oprócz zwykłej, fizycznej odbudowy domu uważa "odtworzenie emocjonalnej i duchowej atmosfery, będącej zwrotem ku przeszłości".

Dlatego też ważne są rodzinne fotografie. Zawierają one tak cenne memorabilia polskiej przeszłości, niszczonej przez wojny, powstania i rządy komunistów jak również i – w twarzach mężczyzn, którzy z takich własnych dworów jak ten ruszali do walki z okupantami i najeźdźcami – potwierdzenie sensu kontynuacji. Ten sam stan emocjonalny – romantyki połączonej z determinacją – ogarnia Nowak-Zemplínski, kiedy mówi o konieczności odbudowy tego, co komuniści, ostatni najazd na Polskę, prawie całkowicie zniszczyli. "Mam zamiar oprawić je w ramki" – mówi odrywając wzrok od fotografii, by ogarnąć oczyma ściany salonu. "Powieszę je tu po to, aby współczesniczyli w odrodzeniu ducha tego domu."

Oprac. Szymon Gałczyński

Za: "Time International", 13.08.90 (Artykuł wiedeńskiego korespondenta Johna Borrella: "The Rebirth of the Manor House")

ARKADY
KSIĘGARNIA POLSKA

Alsterarkaden 10
2000 Hamburg 10
tel. 040/346047

**Polnische
Buchhandlung**
Księgarnia Polska
w Austrii

A-1070 Wien, Burggasse 22,
tel. 0222/ 9387222

katalogi wysyłamy na życzenie

Szkolenie polskich menadżerów

Walki Mikołaj Kopernik, którego nazwisko o różnej ortografii ozdobia wiele instytucji i „firm, dla je ostatnio wielce pożytecznej inicjatywie – szkolenia w Francji młodych „menadżerów” z Czech-Słowacji, Polski, Rumunii i Węgier (Programme Copernic: formation de management en Europe de l'Est, 28 rue des Saints Peres, F-75007 Paris).

Inicjatorami są młodzi biznesmeni z Francji: Andrzej Manberg (polskiego pochodzenia: Crédit Lyonnais, założyciel "Rencontres Franco-Polonoises") i jego przyjaciele: Stéphane Delyac, François-Xavier Deniau, Aurélien Langer i Benoît Richard, którzy zainteresowali projektem i uzyskali poparcie: Institut d'Etudes Politiques de Paris, Ecole des Ponts et Chaussées, Ecole des Mines de Paris i Collège des Ingénieurs. Zorganizowano również zbiorke funduszy początkowo (silami własnymi i z pomocą księżniczki Marie Elisabeth Grigou).

Założeniem programu (pod dyktando Jacques Baulbiéna) jest pomoc w ustalaniu nowego ładu ekonomicznego i społecznego we wschodniej Europie oraz pomoc we współpracy francuskich przedsiębiorstw z krajami EW, poprzez szkolenie w Francji przyszłych kadry przemysłu, finansów i handlu.

Roczny kurs, który łączyć będzie kształcenie ze stażami zawodowymi, dla starannie dobranych kandydatów spośród absolwentów uznanych szkół, w wieku lat 20-30 (Czechów, Słowaków, Polaków, Rumunów, Węgrów), ma za zadanie w szczególności dokształcenie w biznesie, ale także w „funkcjonowaniu mechanizmów ekonomiki”.

Program obejmuje staż wstępny w przedsiębiorstwach; 9-miesięczny kurs: 1/ prawo konstytucyjne, demokratyczne instytucje polityczne, technika komunikacji, polityka ekonomiczna, kierownictwo przedsiębiorstwami (management), finanse i księgowość; 2/ najważniejsze dziedziny działalności biznesowej (do wyboru) oraz prace techniczne i budowlane; 3/ najważniejsze dziedziny handlu i finansów (do wyboru); 4/ staż (3 miesiące) w firmach.

"Copernic" opiera studia i utrzymanie, z udziałem zainteresowanych firm, które współdziałają ("partenariat") i mają wpływ na program. Pierwszy kurs rozpoczyna się 1.10.1990.

W kcie br. otwarto w Warszawie (ul. Żurawia 2/20, 00-503 Warszawa) pierwszy ośrodek szkoleniowy OLC (Open Learning Centre), powstający z inicjatywy polsko-brytyjskiej. Zadaniem OLC jest szkolenie – przy użyciu najnowszych środków technicznych – pracowników najważniejszych dziedzin biznesu, bankowości i komunikacji. Językiem szkoleniowym jest polski i angielski (jeden z kursów uczy "Business English").

Inicjatorem i założycielem fundacji, która uruchomiła ośrodki (Foundation for Management & Enterprise Training – FMET, ul. Brzeźka

5/11, 00-501 Warszawa; dyr. Tomasz Krawczyk) jest Piotr Fudakowski, znany już w Anglii założyciel i kierownik "Premiere Productions Ltd." w Londynie w trakcie studiów w Cambridge. Fudakowski był prezesem (President) sławnej "Cambridge Union". Zamierzano – we współpracy z Fundacją Gospodarczą NSZZ "Solidarność" w Gdańsku (dyr. Mirosław Mironowicz) – zorganizowanie na początku dwóch ośrodków w Warszawie i Gdańsku, a po sprawdzeniu ich skuteczności, popularności i opłacalności – dalších ośmiu w głównych miastach Polski.

W założeniu pierwszego ośrodka – obok firmy "Premiere" – współdziałały firmy: Proce Waterhouse, Digital Equipment Corp. UK i Teletype Ltd.

Inicjatywa zabiega o pomoc brytyjskiego funduszu rządowego "Know How Fund" działającego już w Polsce oraz pomocy Wspólnoty Europejskiej.

Otwarcia dokonał: wiceminister oświaty, Dr Tadeusz Dicz i brytyjski ambasador, Stephen Barrett, wprowadzeni przez Piotra Fudakowskiego. Dr. Krawczyk przedstawił program ośrodka; film (Food UK) zilustrował działania analogicznych ośrodków w Europie Zachodniej (maksymalne użycie nowoczesnej technologii). Pavel Scott z FMET demonstrował funkcjonowanie jednego z programów. Po przyjęciu dla gości pokazano saki i działanie kilku programów: "Risky business" (ryzykowny interes), "Euro Connection" (nastawienie na Europę), "Introduction to Management" (wprowadzenie do zarządzania), "Managing meetings" (jak prowadzić zebrania).

Materiał informacyjny, już dostępny, objaśnia zainteresowanym cele inicjatywy, która przyniesie Polsce i jej przemysłowi oraz obsłudze finansowej szybko i tanio wykwalifikowany personel, dzięki technice poszczególnie już używanej na Zachodzie (staż gotowe programy i pomoc techniczna: wideo, komputery, tony i płyty audio wideo itp.).

W ciągu 18 miesięcy 10 ośrodków OLC powinno działać w kraju. Wedle osiągniętych doświadczeń, każdy ośrodek powinien przeskoczyć do 2-tych kandydatów na menadżerów i rzeczników. Programy kursów obejmują wszystkie dziedziny biznesu z "marketingiem", finansami, tajemnicami rynku, komunikacją itp. Każdy OLC może z czasem wyspecjalizować się w różnych dziedzinach (np. Warszawa w bankowości, Gdańsk w przemyśle ciężkim). Firmy będą mogły zamówić rodzaj szkolenia, co sprzyjać będzie prywatyzacji.

Szkolenie przez OLC przyszłych instruktorów przyspieszy "produkcję" potencjalnych menadżerów. W ciągu 2-3 lat instruktorzy będą mogli przeszkolić do 60 tys. osób.

W pierwszym roku szkolenie kosztować będzie ok. 210 ECU (280 US dol.) na głowę, ale później ani fundacja, ani rząd RP nie będą były, bo kursy powinny stać się samowystarczalne, po okresie 18 miesięcy.

Stanisław Grocholski

Leszek Szaruga

Karl Dedecius — tłumacz Mickiewicza i Miłosza

Pochodzącemu z Łodzi zachodniemieckiemu tłumaczowi literatury polskiej Karlowi Dedeciusowi z Darmstadtu została przyznana prestiżowa Pokojowa Nagroda Gildii Księgarzy Niemieckich. Jej uroczyste wręczenie nastąpi w listopadzie br. na Międzynarodowych Targach Książki we Frankfurcie nad Menem. Przyznanie tej nagrody tłumaczowi li-

teratury polskiej jest wyrazem dążenia niemieckiej inteligencji do pojednania z Polską, jak również uznania zasług dla pioniera na tym polu — Karla Dedeciusa.

Polskimi laureatami tej nagrody byli uprzednio filozof prof. Leszek Kołakowski i katolicki publicysta i pisarz prof. Władysław Bartoszewski.

Z historii stosunków polsko-niemieckich można wybierać to, co dzieli (tak właśnie czyni wielu żyjących tylko bieżącą chwilą publicystów) lub to, co łączy (tak czynią ludzie, usiłujący wybiegać w przyszłość). Karl Dedecius należy do tych drugich, do tych, którzy stosunki polsko-niemieckie widzą w perspektywie europejskiej. W szkicu "Polska w Europie" odnajduje dla tych

polskiego losu, "Księgi Narodu i Pielgrzymstwa Polskiego" dedykuje w tym samym czasie (po powstaniu listopadowym — L.S.) polski poeta narodowy, Adam Mickiewicz, "ludowi niemieckiemu".

Wspólnota losów Polski i Niemiec — to prawda, że w ostatnich dwóch stuleciach znazona dramata — jest dla Dedeciusa przeznaczeniem,

czasu Irena Krońska) ambasador polskiej kultury w Niemczech. W swym translatorskim dorobku posiada Dedecius już przeszło 90 pozycji — od antologii i przeglądów po prezentacje najwybitniejszych polskich poetów współczesnych: Szymborskiej, Miłosza, Herberta czy Różewicza. Jednym z przekładowych majstersztyków jest tłumaczenie "Myśli nieuczesanych" Leca. A przecież każdy, kto śledzi jego prace, wie, że praktycznie rzecz biorąc przetłumaczył on całą polską poezję — od Reja i Kochanowskiego poczynając, na debiutantach ostatniego okresu kończąc. Trudnizna niepozycjonowana.

Ambasadorstwo Dedeciusa nie jest jedynie metaforą — przeciwnie: stworzony jego uporem Deutsches Polen-Institut położony u stóp malowniczego Wzgórza Matyldy w Darmstadtzie jest rzeczywistą ambasadą polskiej kultury. Obchodząca w tym roku dziesięciolecie swej działalności placówka jest instytucją o zupełnie unikatowym charakterze — trudno by, wyjąwszy centra kulturalne polskiej emigracji, odnaleźć analogiczny ośrodek w całej Europie. Instytut, obok szerokiej działalności informacyjnej, prowadzi także działalność wydawniczą — m.in. w publikowanej tu "niebieskiej serii" odnajdujemy znakomitą bibliografię przekładów literatury polskiej na język niemiecki (od zarania po rok 1985) opracowaną przez Krzysztofa A. Kurzyńskiego, a także wydany ostatnio plon zorganizowanej przez Instytut krakowskiej sesji "Der Wunsch, Europäer zu sein".



Karl Dedecius w rozmowie z prezydentem RFN, von Weizsäckerem (po lewej żona prezydenta Marianne) i wydawcą hamburskiego tygodnika "Die Zeit", hrabiną Dönhoff (po prawej) i Romanem Größerem.

poszukiwał historyczne korzenie zwracając uwagę na to, że w XVI wieku "przykład wzorowej europejskiej współpracy" dawali polscy i niemieccy drukarze, zaś "Kolonii i Kraków były wówczas bliższe sobie i bardziej otwarte niż dzisiaj Berlin i Berlin". Przypomina też mało znanym Polakom fakt, że "swą poetycką interpretację

któremu nie sposób uciec. Jeśli więc tak, przeto powinnością winno stać się takie ukształtowanie owej wspólnoty, które pomoże zarówno Niemcom i Polakom przezwyciężyć narosłe tragedie oraz pozwoli wyjść z zakłętą kręgu stereotypów. I właśnie tej pracy poświęcił Dedecius własne życie — i jako tłumacz — i jako (jak go nazywała swego

dokończenie na str. 28

Leszek Szaruga

Peter Lachmann — życie w dwu kulturach

Kiedyś opowiadał mi Lachmann o jednym z najbardziej zaskakujących doświadczeń swego życia. Otóż w czasie wojny zaczął uczęszczać do szkoły, oczywiście niemieckiej, w której szczególnie pasjonowała go gramatyka. Po przerwie spowodowanej zakończeniem działań wojennych powrócił do szkoły, oczywiście polskiej, w której przeżył szok: zamiast czterech, pojawiło się aż siedem przypadków. Być może właśnie to doświadczenie sprawiło, że Lachmann jest jednym z najlepszych niemieckich tłumaczy polskiej poezji. Przy czym warto zwrócić uwagę na to, że zaskoczyła go jedynie zmiana form gramatycznych — a nie języka, gdyż żył w środowisku dwujęzycznym. Z Polski wyjechał w 1958 roku, mając 23 lata. Do dziś swe wiersze pisze wyłącznie po polsku — inne teksty, przede wszystkim eseje i słuchowiska radiowe, po niemiecku.

Żyje na styku dwóch światów — obecnie od kilku lat w Warszawie współtworząc z Jolaną Lothe, byłą aktorką Teatru Narodowego, niezwykle interesujące, eksperymentalny Teatr-Wideo. A żyjąc na pograniczu polskiego i niemieckiego świata korzysta zarówno z bogactwa wrażeń, jakie to życie przynosi, jak też styka się z jego niedogodnościami. Jedną z nich była w roku 1983 napaść partyjnego funkcjonariusza, Witolda Nawrockiego, usiłującego powstrzymać Wydawnictwo Literackie od wydania zbioru wierszy "tego Niemca". Wydawnictwo na szczęście nie ugięło się presji dyktarza i tom opublikowało.

Tytuł tomu — "Niewolnicy wolności" — jest próbą pochwycenia kondycji współczesnego humanisty. W wierszu "Przejazd przez Boże Ciało" przeczytamy: "należymy do klasy niewolników wolności (demagogicznej kategorii filozofii dziesiętnastowiecznej), która sama siebie pogrzebała, a teraz pokazuje nam figę z masowej mogiły naszego stulecia". Dlatego też kraj, ojczyzna, którą opisuje poeta, mając



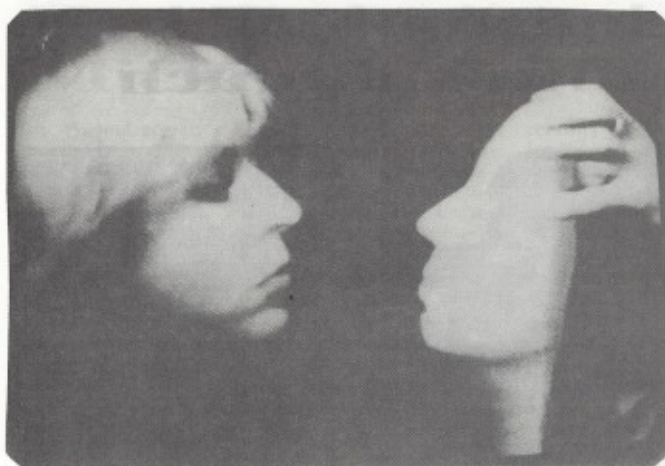
konkretne odniesienia geograficzne, znajduje się jednocześnie w nieoznaczonej i nieograniczonej przestrzeni duchowej, w wymiarze niepochwytym. Z jednej więc strony ukazuje Lachmann polskich emigrantów — Norwida i Gombrowicza — w Berlinie, gdzie "chorują (na niedopolszczenie języka) na emigracyjną padaczkę", z drugiej strony w innym wierszu przeczytamy, że "kraj ten jest wszędzie we wszystkich innych krajach". Poezja Lachmanna jest demonstracją delikatnej, subtelnej wrażliwości. Jego otwartość na sprawy społeczne, przy jednoczesnym unikaniu zredukowania ich do sfery wyłącznie politycznej, widzenie współczesności w bogatym kontekście tradycji — oto główne wartości tej liryki.

Jest przy tym ta twórczość niezwykle interesującym poszukiwaniem swego tożsamości w dialogu dwóch tradycji — polskiej i niemieckiej. Ta podwójność czy dwoistość, która musi stać się jednością, gdyż wyrażana i splekana w jednym ludzkim istnieniu, to bodaj najbardziej pasjonujący wątek poezji Lachmanna. Nie sposób tu dokonać analizy tej fascynującej sytuacji — dość powiedzieć, że to ona właśnie naprowadza tę lirykę na badanie "promieniotwórczości języka" i nakazuje poszukiwanie "źródła światła przedli-

PETER LACHMANN, polski poeta, niemiecki eszysta, tłumacz i reżyser, ur. w 1935 r. w dzisiejszych Gliwicach (wówczas Gkiwitz), zetknął się z polszczyzną, która go odjął fascynuje, dopiero w dziesiątym roku życia, po zakończeniu wojny. Założyciel teatru studenckiego na Politechnice Gliwickiej (1956). Debiut poetycki (w języku polskim) w 1956 r. Dziennikarz, wydawca studenckiego pisma. Wyjazd do RFN w 1958 r. Studia filozofia, germanistyki, teatrolologii i slawistyki na uniwersytetach w Kolonii i Bazyli. Tłumacz i wydawca polskiej literatury (ok. 40 pozycji, m.in. J. Andrzejewski, T. Rózewicz, J. Kott, L. Kolakowski, R. Ingarden, T. Konwicki, H. Kajzar, J. Bocheński, Cz. Miłose, S.I. Witkiewicz). Wydawca szeregu książek: *Polnisch Leben. Stimmen polnischer Katholiken*, Monachium 1968; *T. Rózewicz. Harbrettung zur Dichterkunst. Ein polnisch-schlesischer Lesebuch*, Monachium 1980; *Poesie der Welt. Polen (razen) z Renatą Lachmann*, Berlin 1987. Laureat nagrody nowojorskiej Fundacji Jurzykowski. Autor tomu poezji (jęz. polski) *Niewolnicy wolności*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1983. Autor szeregu sztuk radiowych (w jęz. niemieckim), esysta i krytyk literacki niemieckich pism *Poetiken, Theater heute, Kulturrevolution*. Od 1983 r. współpracuje z Jolaną Lothe tworząc nowe formy teatru w Polsce. Założony przez niego multimedialny Videoteatr LTT (1985) jest dla znawców nowatorskim ewenementem.

Na trzech połączonych ekranach telewizyjnych LTT prezentuje w niesamowitych kolorach swoje impresjonistyczne wizje naszych problemów tego świata. Jego produkcje AKT-ORKA II i AKT-ORKA III były w 1987 r. prezentowane ponad 150 razy na festiwalach krajowych i międzynarodowych oraz w centrach kultury i sztuki LTT Videoteatr. Poniżej przygotowuje obecnie nową produkcję poświęconą Murowi Berlińskiemu.

(St. Gal.)



tery", światła, z którego wytryskują "Hieroglify święte". Te poszukiwania zresztą odnajdziemy także w pracy przekładowej Lachmanna, pracy, za którą uhonorowany został swego czasu cenną nagrodą polskiej emigracji – nagrodą Fundacji Jurzykowskich.

Ten polski poeta i niemiecki esejista – jeden z ostatnich prawdziwych ludzi pogranicza – w swej twórczości buduje mocne i ufundowane na nadziei podstawy polsko-niemieckiego dialogu.

Leszek Szaruga

TRUDNOŚCI WYMOWY*

sforo w Polsce mówi się
nie wprost
od wieków
tradycyjnie i z winy
systemów politycznych oby-
/ czajowych
monetarnych
skoro w Polsce
mówi się na głos
o tym o czym się milczy
z przekąsem i pod brodą
zarośniętą po uszy
piątką językową
skoro w Polsce nie rozumie się
najprostszyc słów
nawet gdy jakiś
szaleniec wuży się na
wypow i e d z
skoro w Polsce
trudności wymowy

stanowią czynnik
i odczynnik szczerości
cichej mowy
to jak ci powiem
jak powiem to co powiem
że zaszedłem za daleko
w tej materii
i że nie wiem jak i którydy
będą się mógł wycofać
bez wypowiedzenia tego
na czym ci nie zależy
na czym mnie też już nie zależy
skoro w Polsce
zakorzenił się ten okrutny zwy-
/ czaj
skoro w Polsce mówienie służy
upiększaniu milczenia o tym
o czym chciałoby się milczeć
ale dopiero po skowie

(81)

Peter Lachmann

* Wiersz załty przez cenzurę z tomu "Niewolnicy wolności".

Dedecius, urodzony w 1921 roku w Łodzi, tam też ukończył polskie gimnazjum im. Żeromskiego. W 1939 roku wcielony został do armii niemieckiej, walczył na froncie wschodnim, gdzie dostał się pod Stalingradem do sowieckiej niewoli. Po latach zwolniony, osiedlił się w RFN. Już w 1959 roku opublikował obszerną antologię polskiej liryki "Lekcja ciszy". Jest też znakomitym esejistą, spod którego pióra wyszły świetne portrety wielu polskich pisarzy, także analizy zagadnień translatorskich. W "Notatniku tłumacza" pisał: "Praca tłumacza to przewyżczenie jednostkowych i grupo-

DEUTSCHES POLEN INSTITUT

wych egoizmów, jednostkowych i narodowych ograniczeń, ciasnoty, obskurantyzmu i megalomanii". W innym zaś miejscu: "Wydaje się, że poezja stała się w sercu Europy pierwszym terenem szczerego i intymnego spotkania między Wschodem a Zachodem, terenem porozumienia, dokonującego się bez rozgłosu, lecz z najlepszym skutkiem".

Przyznanie Karłowi Dedeciusowi tegorocznej Pokojowej Nagrody Księgarzy Niemieckich jest właśnie uhonorowaniem trudu włożonego w budowanie tego porozumienia, podkreśleniem wagi, jaką ma praca Dedeciusa w kształtowaniu podstaw polsko-niemieckiego dialogu – dialogu, który nie zapominając o bolesnych doświadczeniach przeszłości, zwrócony jest przede wszystkim ku przyszłości. Warto tu jeszcze raz podkreślić, że w ubiegłych latach laureatami tej bardzo cennej nagrody literackiej byli dwaj Polacy – Leszek Kołakowski i Władysław Bartoszewski, zaś po raz pierwszy, co chyba najdobitniej ukazuje jej symboliczny charakter, przyznana została ona pośmiertnie Januszowi Korczakowi.

Leszek Szaruga

Recenzje

Marta Waliszewska

Lektury polecane

Wspólnota Europejska w oczach Polaków. Wybór publicystyki i dokumenty. Wybór i opracowanie Zdzisław Najder. Londyn 1989, "Polonia".

Poprzedni tom o podobnym charakterze, przygotowany przez Zdzisława Najdera i Jana Pomiana (pod pseudonimem "Bogusław Grodzicki"), ukazał się w londyńskiej "Polonii" w roku 1982 i nosił tytuł "Wspólnota Europejska – przewodnik". Obecna książka otwiera przedmowa Zdzisława Najdera, wskazująca na aktualność problemu (na koniec roku 1992 planowana jest ścisła integracja gospodarcza państw Wspólnoty Europejskiej, połączona z likwidacją granic), a także na jego wagę dla nas, Polaków. "Jesteśmy – pisze Najder – i z urodzenia, i z wyboru członkami tej samej rodziny. Niniejsza antologia stawia sobie skromne zadanie lepszego zorientowania czytelników w nowych formach instytucjonalnych, które dla swego życia zbiorowego wytwarzają nasi krewiniacy".

Kalendarium Wspólnoty Europejskiej rozpoczyna się od planu stałej rady piętnastu głównych państw chrześcijańskiej Europy, ogłoszonego przez ks. Sully'ego w roku 1638. W jednym z przedrukowanych w książce artykułów mówi się o jeszcze wcześniejszym prekursorze – Karolu Wielkim. Rzeczywistym architektem obecnej Wspólnoty był wszakże Jean Monnet (sylwetkę tej młolowiczej postaci szkicuje Leopold Unger w brawurowo napisanym esej "Wystarczy lekki wstrząs").

Prace polskich publicystów zostały zebrane z prasy wszystkich obiegów (przoduje paryski "Kontakt") oraz archiwów radiowych. Obok artykułów informacyjnych znaleźć tu można błyskotliwe eseje (dwa teksty Ungera) a także śmiałe prognozy, które powoli zacierają się spełniać (m.in. Edmunda Jana Osmańczyka). Jak powiedział Jacques Delors, przewodniczący Komisji Wspólnot Europejskich, "między Dwunastoma Państwami zawarty został kontrakt małżeński. Można go zaakceptować, ale nie można mieć jednej nogi w środku a drugą na zewnątrz. A zatem Wspólnota Dwunastu Państw musi znaleźć formy współpracy i wyciągnąć rękę do innych Europejczyków." Polscy publicyści dodają, że kształt i rozmiar tej współpracy zależą od stopnia cywilizacyjnego znaczenia naszej części Europy.

Szkoda tylko, że kształt edytorski tej cennej książki nie jest bez zarzutu. Na przykład kalendarium przedrukowano po prostu z tomu Wspólnota Europejska – przewodnik i zapis dotyczący maja 1948 – "Kongres Europejski w Hadze (zob. rezolucja haska i fragmenty wspomnień J. H. Retlingera)" – odsła do tekstów, których w omawianej książce nie ma. W dodatku chochlik drukarski mocno zakłócił chronologiczną kolejność, co bardzo utrudnia posługiwanie się kalendarium. Ale, jak mawiają Anglicy, *nobody is perfect*.

Józef Hen. *Oko Dajana*. Warszawa 1990, "Iskry".

Na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych w paryskiej "Kulturze" ukazały się trzy opowiadania współczesne,

podpisane pseudonimem Korab. W roku 1973 wyszły one w książce, przełożone na francuski przez poetę i muzykologa, Szymona Łaksa. Teraz do autorstwa opowiadań przyznał się doświadczony prozaik Józef Hen.

Rzeczy pisane pod pseudonimem, aczkolwiek wolne od ograniczeń cenzuralnych, bywają na ogół słabsze literacko. Autor, zwolniony od bezpośredniej odpowiedzialności przed czytelnikiem, staje przed pokusą jednoznaczności, a w konsekwencji – upraszcza i splyca. Józef Hen próbował bronić się przed tą pokusą, co udało mu się chyba połowicznie, na tyle jednak, że książka warta jest uwagi.

Zamyślił ogólny był bodaj taki: na trzech przypadkach ludzi, którzy nie są bliżej zaprzyjaźnieni, ale których losy jakoś się wiążą, pokazać, jak po marcu 1968 rozprawiono się z nonkonformistami. Bohaterów poszczególnych opowiadań dzieli wiek: jeden jest człowiekiem młodym, wkrótce po studiach, drugi mężczyzną dojrzałym, z doktoratem, trzeci – już na emeryturze. Łączy ich natomiast coś, co można nazwać kulturą humanistyczną. Najmłodszy, po polonistyce, pracuje w centrali handlu zagranicznego, gdzie z polotem pisuje teksty, reklamujące polskie wyroby. Średni wiekiem, też polonista, uczył w liceum (póki nie został zwolniony). Najstarszy, były działacz komunistyczny, odznacza się solidnym wykształceniem i znajomością kilku obcych języków. Najmłodszy myśli Dostojewskim, średni Conradem, Camusem i tekstami z Biblii, trzeci wie, że ekscentryczny staruszek w czytelnym "empiku" ("Wygląda jak prorok: długie włosy, siwa broda w nieładzie, pomity kapelusz z szerokim rondem, świąty kostur zamiast laski") to awangardowy poeta Tadeusz Peiper.

Podobny też jest mechanizm prześladowania. Najpierw drobne szkazy, tajemnicze telefony, potem nagle i nieodwołalne zwolnienie z pracy. A jeśli ktoś nie pracuje, to może otrzymać anioła stróża, który pod pozorem pisania pracy magisterskiej będzie prowadził krypto-prześluchanie.

Marcowe i pomarcowe polowania na czarownic były, poza wszystkim, także probierzem ludzkich postaw. "Oko Dajana" daje spory wachlarz takich reakcji ludzi, którzy sami nie byli dotknięci prześladowaniami. Obok przejawów podłej wrogości i *Schadenfreude* pokazuje Hen solidarność i spontaniczną ofiarność (ten akurat wążek należy w książce do najmniej jednoznacznych i przez to najciekawszych). Nie wchodzi jednak w szczegóły, żeby nie zdradzać sensacyjnej fabuły tych opowiadań.

W dwudziestolecie Marca ukazało się kilka ważnych rozruchunkowych artykułów publicystycznych. "Oko Dajana", stawiając podobne pytania na poziomie ludzkiego życia, stanowi ich literacki odpowiednik. Opowiadania Hena, pisane na gorąco, w pewnym sensie na zamówienie (choć także z potrzeby serca) przetrwały próbę czasu. Są głosem sumienia.

Józef Czapski. *Czytając. Wstęp i opracowanie Jan Zieliński*. Kraków 1990, Wydawnictwo Znak.

Zaczęło się tak. W roku 1983 "Znak" wydał – pod tytułem "Patrząc" – opracowany przez Joannę Pollakówną tom esejów

mieszkającego w podparyskim Maisons Laffitte seniora polskiego malarstwa i polskiej literatury, Józefa Czapskiego. Jak wskazywał tytuł, tom gromadził przede wszystkim esaje na tematy malarskie. Potem, w roku 1986, w paryskich "Zeszytach Literackich" Adam Michnik sparafrazował tytuł tomu, swój święty, pełen zaangażowania szkic o Józefie Czapskim tytułując: "Czytajcie". Od Michnika tytuł zapożyczył Zieliński, zbierając eseje Czapskiego o tematyce przeważnie literackiej.

Przeważnie, ale nie tylko. Tak się bowiem składa, że u Czapskiego niesłychanie trudno wyznaczyć dokładne granice między pisaniem o malarstwie, pisaniem o literaturze, pisaniem o świecie (notatki podróże, wspomnienia o pisarzach) i pisaniem o sobie. Jego osobowość harmonijnie łączy różne aspekty twórczości, a punktem, w którym się one stykają jest właśnie – przy całej skromności artysty – jego twórcze "ja". Co ciekawsze, w szkicu tak właśnie – "Ja" – zatytułowanym Czapski najmniej pisze o sobie, więcej o innych autorach dzienników i autobiografii.

Tom szkiców Czapskiego gromadzi przede wszystkim teksty, które swój pierwodruk miały w (redagowanej w tym samym domu w Maisons Laffitte) "Kulturze". Na szczególną uwagę zasługują tu wykłady Czapskiego w osobie i twórczości Prousta, wygłoszone w obozie jenieckim w Griazowcu. Ale tom "Czytajcie" zawiera też trudniej dostępne szkice z "Orla Białego" z roku 1944 (m.in. świetne rozważania o roli kultury w trudnych czasach), a także drukowany kiedyś w krakowskim "Znaku" esej prezentujący sylwetkę jednego z najciekawszych myślicieli XX wieku, Wasilija Rozanowa.

Józef Czapski, coraz częściej goszczący w naszych galeriach i muzeach jako malarz, autor głośnych wspomnień z niewoli sowieckiej ("Na nieludzkiej ziemi") prezentuje obecnie swe oblicze krytyka literackiego i estety.

Marta Waliszewska

Historia najnowsza

Stanisław Kania

Zbrodniarze wojenni agentami wywiadu?

Rozpad koalicji antyfaszystowskiej i nasilenie zjawisk "zimnej wojny" nie sprzyjały międzynarodowej współpracy w ujawnianiu i ściganiu zbrodni z okresu II wojny światowej. Międzynarodowy Trybunał Wojskowy w Norymberdze zakończył – wbrew pierwotnym zapowiedziom – swą działalność po osądzeniu pierwszej grupy głównych zbrodniarzy wojennych. W ZSSR i kontrolowanych przez państwach bloku wschodniego potępienie metod nazistowskich było niewygodne, ponieważ kompromitowało metody ujarzmania własnego społeczeństwa. W RFN i w NRD panowała zмова milczenia wokół zbrodni ludobójstwa dokonanej np. na Polakach. Sprawy tych zbrodni z reguły nie były pociągane do odpowiedzialności przez sądy państw niemieckich i Austrii.

Władze NRD w sposób deklaracyjno-urzędowy potępiły imperializm, militarizm i faszyzm. Nigdy jednak na terenie tego państwa nie zaistniały warunki dla swobodnej dyskusji społecznej nad przeszłością Niemiec. Urzędowe obwieśnienie, że NRD jest państwem antyfaszystowskim, nawiązującym do postępowych tradycji narodu niemieckiego, utrudniało pogłębioną refleksję nad dziejami własnego społeczeństwa. Nie też dziwnego, że w literaturze enerndowskiej brak było rozważań o politycznej

winie i moralnej odpowiedzialności obywateli za państwo, jakie spotykamy u K. Jaspersa i innych intelektualistów zachodnio-niemieckich.

W NRD serwowano tylko taką diagnozę, że faszyzm był reakcją imperialistycznej burżuazji na zmianę układu sił na kontynencie po zwycięstwie Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej, która zapoczątkowała przejście od kapitalizmu do socjalizmu. Z wydanej w Lipsku, w łącznym nakładzie 530.000 egzemplarzy, "Philosophisches Wörterbuch" (12. Wyd. 1976) czytelnicy hasła "faszyzm" dowiadywali się, że "pierwsze faszystowskie reżimy utworzone zostały w latach dwudziestych we Włoszech, Polsce, na Węgrzech i w Portugalii. W 1933 r. doszedł do władzy niemiecki faszyzm, a w 1938 – przy poparciu niemieckiego i włoskiego faszyzmu – hiszpański faszyzm (...). W drugiej wojnie światowej niemiecki faszyzm wraz ze sprzymierzeńcami został militarnie, politycznie i ideologicznie pobity przez Związek Sowiecki, antyhitlerowską koalicję i siły antyfaszystowskie". Niestety, wśród wielu podobnych informacji, zabrakło w tym hasle np. słowa Auschwitz.

Nie jest to przykład odosobniony. K. Gossweiler w obszernym tomie szkiców "Aufsätze zum Faschismus" (Berlin 1986), podobnie jak wielu innych badaczy wschodniemieckich, nie obejmuje swą refleksją zbrodni faszyzmu niemieckiego w krajach okupowanych przez Trzeci Rzeszę. Bogato ilustrowana "Deutsche Chronik 1933-1945" H. Bergschickera (Berlin 1985) wyraźnie minimalizuje zbrodniczą działalność nazistów na ziemiach polskich. Brak tam informacji o zbrodniach *Einsatzgruppen* o masakrach, pacyfikacjach ludności wiejskiej, a podpis pod zdjęciem z Powstania Warszawskiego sugeruje, że to zbrodnia emigracyjnego rządu polskiego i AK (str. 477).

Sprawa ścigania i karania zbrodniarzy hitlerowskich była przez władze NRD potraktowana instrumentalnie, przede wszystkim jako środek wywierania presji na RFN. Utworzone w ramach MSW NRD Dokumentations Zentrum usiłowano w latach 60-tych przekształcić we wspólne dla wszystkich krajów socjalistycznych centrum dokumentacyjne, które zmonopolizowałoby – pod kontrolą władz NRD – wszelkie kontakty z RFN w dziedzinie ścigania zbrodni nazistowskich. Koncepcja ta wysuwana była podczas kulturalnych rozmów przy okazji konferencji ekspertów do spraw zbrodni hitlerowskich w Berlinie. Popowie k. Warszawy czy w Moskwie w latach 1965-1969. Wskutek stanowczego sprzeciwu przedstawicieli Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce, którzy uzyskali poparcie prawników sowieckich i czechosłowackich, do takiej niebezpiecznej monopolizacji nie doszło. Władze NRD, zwłaszcza przedstawiciele ministerstwa bezpieczeństwa i spraw wewnętrznych, dążyły do przyjęcia wszelkich akt niemieckojęzycznych z okresu II wojny światowej. Jednak zabiegi te doprowadziły m.in. do przekazania do NRD akt Ministerstwa Sprawiedliwości Rzeszy ze zbiorem wyroków sądów niemieckich na Polaków, będących własnością Archiwum Akt Nowych w Warszawie. Dzięki interwencji Głównej Komisji procedur został przewany. Próby przyjęcia akt podejmowane były przez władze NRD do 1989 r. Dotyczyły to zwłaszcza zbiorów akt przechowywanych swego czasu w Centralnym Archiwum MSW, którego kierownictwo nie zawsze zdawało sobie sprawę z rodzaju zawartych tam informacji i skłonne było zadośćuczynić żądaniom służb "archiwalnych" NRD.

Znajdująca się w posiadaniu władz NRD dokumentacja archiwalna, zawierająca dowody zbrodni nazistowskich, tylko wybiórczo wykorzystywana była do ścigania sprawców tych zbrodni. Chodziło przede wszystkim o interesy enerndowskiej służby bezpieczeństwa i wywiadu...

Stanisław Kania

Jacek Korczak-Mleczko

Teutońskie lato

Po włoskim Mundialu zostały tylko wspomnienia, a piłkarskie szaleństwo zapelniało prasę i niezliczone wydawnictwa poświęcone piłce, bo w RP ktoś sobie wyduł, że największe pieniądze można zrobić na piłce i gołych panienkach. Mundialowe studio TV już nie katuje kibiców reklamą butów sportowych "Adidas-torsion" ochrz-

i wszelkie targowiska wojewódzkie, po umiarkowanej cenie 50 tys. za sztukę. Nasyconie regionalne: miasto Wrocław wygląda tak, jakby wszyscy młodzi obywatele zdobyli właśnie mistrzostwo świata, a w miejscowościach wy-

cierpi. Bo każdy napotkany znajomy, czy nieznajomy, pyta go wyłącznie — ile zarobił na tym bieganii z chorągiewką?

Sędzia Michał L. przekonał mnie, jak ważny w futbolu jest aspekt wiary.



Jan Paweł II był wiernym kibicem Mundialu 90

fol. ab

zonych szybko "torsjami adidasa", które mają tę właściwość, iż nie można ich w Polsce kupić.

Za to na wielu placykach czy boiskach do gry w piłkę nożną pełne pojeżdżanie z ojezyczną Beckenbauera. Młody obywatel, mający pociąg do kopanej, musi obowiązkowo hasać w koszulce identycznej jak te, w jakich występowała we Włoszech zwycięska drużyna RFN. Białe to, z czarno-czerwono-żółtym paskiem i czarnym orłem na piersi. Wersja mini, dziecięca, sprzedawana jest hurtowo od rembertowskich ciuchów po stadion na Skrze

(widziałem w Kołobrzegu) pojawiły się nawet futsal bündes dresy.

Trudno o lepszy przejaw magii sportu i mody. Nie przypominam sobie, aby w 1974 r. ktoś w PRL dopominał się o koszulki Argentyny albo Włoch. Nie słychać też oburzonych głosów, że dziecko znad Wisły, grające w piłkę w germańskiej ko szulinie, to hańba i przejaw

braku patriotyzmu. Może i tak. Tylko jak wytłumaczyć małolatu, który chce być i grać jak Klinsmann, żeby nosił strój biało-czerwony z innym orzelkiem. Nawet małolat wie, że nasz najlepszy piłkarz, pan Kosecki, to nie Voeller, a eliminacje do Mundialu zostały przez team PZPN przegrane w sposób kompromitujący. Byliśmy przecie lepsi tylko od Albanii.

Po Warszawie dosłownie przemęka się jedyny polski uczestnik Mundialu, sędzia Michał Listkiewicz. Osiem razy wystąpił jako liniowy (rekord!), był aktorem inauguracji i finału, i teraz



Tak było przed meczem finałowym RFN — Argentyna. W przyjacielskiej komisji Matthäus i Maradona (kapitanowie drużyn) i trenerzy Beckenbauer i Bيلاردو.

fol. ab

Kibicem Mundialu był Jan Paweł II i to Listkiewicz widł delegację oficjalną FIFA oraz sędziów na papieską audycję. W forpoeccie miało iść pięciu sędziów-katolików, co ustalono zaważaszu z odpowiednią watykańską kongregacją. Ostatecznie katolików było czterech, w tym nasz człowiek i pan Cedeşal z Meksyku, który potem poprowadził finał mistrzostw... Na piątego wśliznął się protestant, pan Fredriksson ze Szwecji, który zabiegał o to bardzo usilnie. Niestety, Szwed za fatalne błędy w meczu Włochy-Argentyna został odesłany przed terminem do do-

mu, co świadczy dobitnie, że konwencje nie należy łamać.

Teutońskie lato. Trener Beckenbauer, znów z tytułem "Kaiser", otrzymał właśnie cesarską pensję od Adidasa. Są tacy którzy twierdzą, iż to jego pomysł (i procent) z tymi eksportowymi koszulkami w barwach narodowych. Franz przestał być trenerem drużyny RFN, ale to było ustalone na długo przed Mundialem. Zwyczaj jakże odmienny od naszego, bo polscy trenerzy dowiadują się o wymówieniu z radiowych "Sygnałów Dnia" albo z gazety. Rok temu wszyscy wiedzieli, że następcą Beckenbauera będzie kolega z drużyny roku 1974, Bertie (dzisiaj już Hubertus) Vogts. W RFN, w całym okresie powojennym, było tylko czterech trenerów kadry, Vogts jest piątym. Wyniki – wspaniałe. W PZPN są jednak mądrzejsi. Poprzednik obecnego szefa reprezentacji, pan Łazarek, wyłoniony został w drodze tajnego konkursu. Konkurs się odbył, choć typowano zwycięzcę jeszcze przed napisaniem konkursowej pracy. Wiedzieliśmy nawet, kto komu może takie prace pisać, o czym i za ile...

Teutońskie lato. W RFN mają po mistrzostwach zmarwienie. Łatwiej połączyć Niemcy, niż zachodnią Bundesligę ze wschodnią Oberligą. Na początek do ligi RFN postanowiono dać tylko aktualnego mistrza i wicemistrza NRD. Podniosło się larum, że za mało. Sam Beckenbauer stwierdził, iż jest tam więcej piłkarzy tak dobrych jak Thon czy Kirschke. Na pociechę do II ligi zachodniej przydano 6 drużyn od de Mezière'a. Ciekaw jestem, jak będą się teraz nazywały, gdyż honckerowsy spece od sportu kochali wyłącznie Torpedo, Dynamo, Vorwärts, Lokomotiv albo Traktor.

W polskiej ekstraklasie też już sezon 1990/91. Na inauguracyjny mecz w stolicy, Legia – Wisła, przyszło aż 4600 widzów. Mieli rację, bo nie zobaczyli Moskala. A jest to może jedyny Moskał, który zdobył zagorzałych kibiców. Ma na imię Kazimierz i właśnie osiągnął ogólnopolski rekord transferowy. Wisła sprzedała go Lechowi Poznań za 2 miliardy złotych, czyli za 200 tys. dolarów. Jak na wymiar krajowy to dużo, urynkowiliśmy się

także w futbolu. Były prezesa Widzewa, Ludwik Sobolewski, który kilka lat temu kupił Dziekanowskiego za 24 miliony (przeliczając w obecnym złotówkach to i tak górą Moskala) wtykany był palcami jako polski Rotschild. A z Moskalem cicho sza. Żeby było ciekawiej, Lech Poznań na Moskału zarobił. Upřednio bowiem sprzedał średniej klasy zawodnika, Pechelskiego do Panathinaikosu Ateny, za 325 tys. dolarów, co daje jeden i trzy czwarte Moskala.

Futbol to w ogóle zajęcie dla ludzi biznesu. W reorganizowanym Komitecie Młodzieży i Kultury Fizycznej, który teraz przemieni się w UKiF i T, czyli Urząd Kultury Fizycznej i Turystyki, miny niejętę. Także w PKOL. Nie było Polaków, po raz pierwszy od 1974 roku, na mistrzostwach świata – no to nie ma pieniędzy na sport. Wiadomo bowiem, że nogi futbolistów świata co cztery lata kilka milionów dolarów, wypłacanych narodowym jedenastkom

– uczestnikom finału – z tytułu reklam, TV, wpływów za bilety itp. Im kto dalej awansował, tym więcej dostawał. To, co przywozili ludzie Górskiego, Gmocha i Piechniczka pozwalało potem trwać polskiemu wyczynowi od olimpiady do olimpiady. Teraz został tylko wicepremier Bałcerowicz i datki Polonusów (niestety grosze), tudzież działalność gospodarza PKOL, Bidota. Bardziej bogato jest już w otoczeniu beniaminka I ligi, Igloopolu Dębica, ukochanego dziecka eks-prezesa PZPN i eks-ministra, pana Brzostowskiego.

Teutońskie lato. Volkswageny zamiast Wartburgów i futbolowy spektakl niemieckiej jedenastki. Futbol to bardzo spokojna i prosta gra. Trzeba mieć dyscyplinę, być dobrze zorganizowanym, dużo pracować, nie zniechęcać się i tyle. Jak Niemcy.

Jack Koczak-Mleczo



Finał dla Niemców. Walczą Rudi Völler i Nestor Lorenzo.

Wszystkie prawa zastrzeżone. Wszelkie prawa zastrzeżone.

IMPRESSUM

«Pogląd» — niezależny, ponadpartyjny miesięczny magazyn polityczny — wydawany jest przez fundację «Pogląd». Wszystkie prawa zastrzeżone. Przedruk i tłumaczenia wyłącznie za pisemną zgodą wydawcy. Niezamówionych materiałów nie zwracamy, a w przypadku ich publikacji zastrzegamy sobie prawo do skrótoń. Materiały podpisane nawet nazwiskiem niekoniecznie oddają stanowisko redakcji. Odpowiedzialność za artykuły podpisane nazwiskami ponoszą autorzy. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Ceny ogłoszeń ustalają każdorazowo ze zleceniodawcą.

«Pogląd» ukazywał się od stycznia 1982 roku w Berlinie Zachodnim jako niezależne pismo zrzeszenia »Gesellschaft Solidarität« e.V. Od numeru 153 (wrzesień 1989) ukazuje się w Warszawie, od nr. 165 jako wydawnictwo fundacji »Pogląd«/Warszawa.

Kolportaż i prenumerata za granicą do grudnia 1990 wyłącznie poprzez »Gesellschaft Solidarität« e.V., c/o Edward Klimczak, Postfach 420122, D-1000 Berlin 42 (West) oraz jego wymienionych niżej przedstawicieli.

Prenumerata krajowa: przez kolporterów »Pogląd«.

Prenumerata zagraniczna: cena pojedynczego egz. na Zachodzie DM 5,-.

RFN:

półrocznik DM 35,-

rocznik DM 65,-

Europa i kraje zamorskie (poczta zwykła):

półrocznik DM 40,-

rocznik DM 75,-

Kraje zamorskie (poczta lotnicza):

półrocznik DM 57,-

rocznik DM 105,-

Australia:

półrocznik DM 67,-

rocznik DM 130,-

Wysyłkę podejmujemy po przekazaniu należności na konto — z dopiskiem »prenumerata«:

»Gesellschaft Solidarität«
Sparkasse Berlin West
Konto-Nr. 1220012382
BLZ 10050000

»Gesellschaft Solidarität«
Post giro Berlin West
Konto-Nr. 586 90-102
BLZ 10010010

Adres redakcji:

»Pogląd«

Kierownik biura: Masza Kmiecik-Lejman

ul. Hoża 37 m. 31

WARSZAWA

tel. 22/218881

Editor: Edward Klimczak

Redakcja: Stanisław Gałęziowski — zagranicą;

Adam Kowalski — aktualności;

Zbigniew Żbikowski — red. odp.

Fotokład: Leszek Kaleta

Korespondenci zagraniczni:

Ewa Darnas, Maria de Hernandez-Paluch — Paryż, Wiktor Gro-

towicz — Monachium, Edward Klimczak — Berlin, Andrzej M.

Pędziwiat — Wiedeń, Maciej Radwan Rybiński — Bonn, Cezary

Stolarek — Chicago, Roman Śmigiełski — Kopenhaga, Andrzej

Zwaniecki — Waszyngton

Przedstawiciele i kolporterzy:

AUSTRALIA — Andrzej Lewandowski, 8 View Street, 6008 Su-

biaco, tel. 09/3821662; AUSTRIA — Księgarnia Polska, Zofia

Reinbacher, Burggasse 22, 1070 Wien; DANIA — Roman Śmigieł-

ski, Worsaaesvej 7, 4tv, 1972 Frederiksberg C, tel. 01/31393330;

KANADA — Marek Przykowski, 5050 Roslyn, Apt. 32, H3W2L2

Montreal, PQ; RFN — Robert i Stanisław Brodniecki, Zum Luft-

schacht 17, 4600 Dortmund 15, tel. 0231/374673; Jerzy Jankow-

ski, Oskar-Maria-Graf-Ring 54, 8000 München 83, tel. 089/

6371213; Tadeusz Leń, Wiener Str. 307a, 7000 Stuttgart 30, tel.

0711/8567415; Z. J. Piłarski, Im Hirschfeld 19, 5190 Stolberg, tel.

02402/84348; Marek Poliwski, Jülicher Str. 22, 5000 Köln 1, tel.

0221/219480; Christoph Pyrek, Wangenerstr. 27, 7000 Stuttgart

1, tel. 0711/463038; Stanisław Rejman, Buocheerstr. 12, 7057

Winnenden, tel. 07195/74356; Waldemar Tymoszek, Alister Ar-

kuden 10, 2000 Hamburg 36, tel. 040/346047; USA — Tamara

Sochaeka, 5026 Cadiff, Detroit, MI. 48212, tel. 313/8715317;

WIELKA BRYTANIA — Solidarity with Solidarity, 7 Quintin Ave.,

London SW20 8LD, tel. 01/6734456;

Od Wydawcy:

“POGLĄD” O SOBIE

Przeprowadzka redakcji “Poglądu” z Berlina Zachodniego do Warszawy dobiega końca. Na początku września zlikwidowaliśmy biuro przy Gesslerstrasse - obecnie funkcjonuje ono zastępczo w prywatnym mieszkaniu Wydawcy. Nadal aktualne są nasze berlińskie konta bankowe, przyjmujące wpłaty na prenumeratę zagraniczną - aż do przydziału nam konta w Warszawie, co - jak wiele rzeczy w kraju - jeszcze potrwa.

“Pogląd” wyszedł ostatecznie z podziemia i z “drugiego obiegu”, w którym funkcjonował od początku stanu wojennego. Jest nadal niezależnym piśmie, tyle że obecnie nie Towarzystwa “Solidarność” z Berlina Zachodniego, a niezależnej fundacji “Pogląd” z Warszawy.

Obecnie Wydawnictwo i Redakcja podejmują usilne starania, by zdobyć oficjalny, legalny, po prostu wolny rynek czytelniczy. Lipcowo-sierpniowy numer pisma kolportowany był już przez “Ruch” i zyskał wiele przychylnych ocen - czytelniczych i dziennikarskich.

Chcemy zdobyć czytelnika nie uzależniając się od żadnych partii, politycznych koterii, czy innych ugrupowań, które wyszarpują sobie tytuły po byleży RSW na własne organy, bądź zakładają nowe trybuny słowa niby wolnego, ale jednak stronicznego. Naprawdę niezależne dziennikarstwo, zwane w świecie “czwartą siłą”, musi być być w Polsce dopiero zbudowane. Dziennikarstwo to nie tylko dziennikarze, tych podobno nie brakuje, ale również czasopisma, w których swoje teksty mogliby zamieszczać. “Pogląd” chce być takim miejscem, ale aby naprawdę istnieć na rynku, musi zwiększyć częstotliwość ukazwania się. Aktualnym magazynem politycznym może stać się dopiero jako tygodnik. Planując na razie zmianę rytmu na dwutygodniowy, zmniejszamy od tego numeru obfitość o połowę. Przeprowadzając wszystkie te zmiany liczymy na wyrozumiałość i współpracę naszych zwolenników.

**POPIERAJ NAS!
ZOSTAŃ NASZYM
WSPÓLPRACOWNIKIEM,
KOROSPENDENTEM,
KOLPORTEREM!**

